

MAGAZYN *razem z dodatkami*

- Łatwogang, Maja i Bedoes. Fenomen internetowej zbiórki pieniędzy
 - Dziecko wypada z okna. Sąd rozlicza rodziców
 - Prof. Dudek: Od systemów prezydenckich do rządów autorytarnych
- PLUS** TELEMAGAZYN z programem TV i zapowiedziami najciekawszych programów w tygodniu



Express BYDGOSKI

Czwartek-niedziela
30.04-3.05.2026

Nr 100 (11288)
Rok XXXVII

www.expressbydgoski.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Mikromiasto, Bydgoszcz w pigułce. Mrówkowce na Bartodziejach mają niezwykłą historię. Na tę opowieść składają się losy mieszkańców, ale swoją wersję ma też do opowiedzenia architektura **str. 16**

Kronika bydgoska
Chłopak z „Bartów”
zrobił swoje. I to jak!
str. 2

Nr ISSN 1230-9192

Nr indeksu 350680



9 771230 919059

Zanurz się w majówkę!



Przed nami długi weekend. Początek maja to wyjątkowy czas Święta Flagi i 235. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. W Bydgoszczy nie zabraknie uroczystości oficjalnych, ale i imprez dla ducha i ciała, na które zapraszają władze miasta i województwa **str. 4 i 5**

„Belma”
wyprodukuje
milion min! Umowa
na dostawę bojowych
i ćwiczebnych min
narzutowych **str. 4**

Po weekendzie
duże zmiany
dla kierowców
i pasażerów
w związku z bydgoską
retencją **str. 5**

Pierwsza Komunia Święta
prawie jak wesele. Organizacja
przyjęcia jest sporym wyzwaniem –
logistycznym i finansowym.
Ile dać w prezencie? **str. 8 i 10**

300 milionów
dla bydgoskiego
Centrum
Onkologii.
Rozbudowa potrwa
cztery lata **str. 6**

TYDZIEŃ Z „EXPRESSEM”

PONIEDZIAŁEK

● Sportowe wydarzenia, wyniki i tabele z weekendu

WTOREK

● Strefa biznesu - analizy i informacje gospodarcze

ŚRODA

● Rak jajnika - cichy zabójca atakuje coraz młodsze kobiety

CZWARTEK

● Druga Rzeczpospolita i jej broń biologiczna. Pierwsi byli Niemcy

PIĄTEK

● Czego turyści szukają w Czarnobylu?

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 52 511 94 64, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.expressbydgoski.pl

pisze
Leszek WaligóraJESZCZE POLSKA
NIE ZGINEŁA

Jak mamy takie dzieci. Z całym szacunkiem dla Wielce Szanownego Pana Łatwoganga, ale z mojej perspektywy 23 lata to jeszcze dzieciństwo, choć już pozwala na posługiwania się dowodem osobistym, legalne picie alkoholu, kierowanie pojazdami mechanicznymi i samodzielne powroty do domu po godzinie 23. I byłbym sobie dalej tkwił w bannie staruszków utyskujących, że to wszystko co potrafia dziś zrobić młodzi dorośli, a i tak przerośnie ich psychicznie odpowiedzialność, a tymczasem wchodzi cały na białą jakis jutuber. 23 lata. 250 milionów - z hakiem - złotych zebranych. Jak on tak zaczyna, to w moim wieku będzie miał pomniki, będzie prezydentem, albo i papieżem. Nawet jak nie jesteście miłośnikami internetu, to o Łatwogangu w miniony weekend musieliście usłyszeć - choćby za sprawą klasycznych, starych mediów.

Inie, nie zamierzam utyskiwać na bandę celebrytów, która zgoliła głowy czy co tam jeszcze zrobiła w ramach wyzwania i przyciągania uwagi do chłopaka, który wcześniej już żył z internetu, a teraz postanowił go wykorzystać w szczytnym celu. Jedynym aktywem celebrytów jest ich rozpoznawalność. Czasem osiągnięta sukcesami sportowymi, artystycznymi, biznesowymi, a czasem wynikająca z nie wiadomo czego. Są znani, bo są znani. Niektórzy tego potrzebują, niektórzy tego nie chcą, a mają, niektórzy o to walczą całe życie i nie mają, a niektórzy z tego żyją. I pal licho, naprawdę. Jeśli z tego wynika 250 milionów złotych na leczenie dzieciaków, to mamy 250 milionów złotych, żeby komuś nie zazdrościć upieczonej przy okazji popularności. A może wcale tam nie było wyrachowania, przecież celebryta czy milioner, też ma serce, też chce pomóc.

A to, że publicznie? I co z tego? Przestańmy w końcu udawać, że kierujemy się w życiu biblijną zasadą „dawaj jałmużnę nie pod publikę”. Jakoś tak się dziwnie składa, że o znanych, którzy nie dają pod publikę i tak dowiadujemy się z mediów, czyż nie?

A że mamy dziwny kraj, w którym trzeba zbierać na pomoc dzieciom? Nie ma kraju na świecie, który byłby w stanie sfinansować każde leczenie, każdego chorego. Ba, są kraje i to całkiem bogate, jak Stany Zjednoczone, gdzie proste zapalenie wyrostka robaczkowego może doprowadzić do bankructwa za leczenie. A gdy mamy do czynienia z rzadką chorobą, gdy standardowe leczenie zawodzi, a to niestandardowe kosztuje miliony? Nie czekajmy na procedury, żadne procedury nie przewidzą wszystkiego, a jak widać, spontaniczna akcja młodego człowieka da efekty.

Przestańmy utyskiwać na pokolenie Z, Y czy jak tam kolejne pokolenia będą się nazywać. W każdym będą ciapy, w każdym będą źli, w każdym będzie wielu zwykłych i w każdym będą ci niezwykli. A jak tak się uważnie przyjrzeć, to ci zwykli są też niezwykli.

Jeszcze Polska nie zginęła, póki ma takich ludzi! ©

AUTOPROMOCJA

0010990293

Zamów prenumeratę

Express Bydgoski ☎ 52 511 94 64
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.expressbydgoski.pl

KRONIKA BYDGOSKA

Chłopak z „Bartów”
zrobił swoje. I to jak!Ewa Czarnowska-Woźniak
ewa.czarnowska-wozniak@polskapress.pl

Bedoes stworzył utwór, który zapewni mu artystyczną nieśmiertelność. A to tylko początek wielkiej sprawy.

Gdzieś, kiedyś mignęła mi informacja, że jakiś odsetek uczniów podstawówek, zapytany o wymarzony zawód, odpowiedział: influencer. Robota życia. Bez Mickiewicza i Sokratesa, bez Mendelejewa i Newtona. To, co tygrysy lubią najbardziej. Tylko kompij, a hajj sam leci.

Zgredkom takim jak ja nie mieści się w głowie, że można wymyślić patent na płacenie rachunków polegający na tym, że ktoś chce oglądać blondie malującą paznokcie albo wydymającą (niech mi Państwo wybaczą) usta gdzieś w urzekających okolicznościach przyrody... Na jednym skrajnym brzegu tego świata są tzw. patostremerzy, bogacący się na chorej chęci podglądania rzeczy obrzydliwych. Na drugim skrajnym brzegu ci, którzy szukają w tym świecie naprawdę oryginalnych pomysłów i przekonujący do siebie szczerością i autentyzmem. I wtedy rodzi się fenomen.

Pewien chłopak z Radomia na relacjonowaniu w internecie wykonywania różnych wyzwań



Dwa lata temu Bedoes dorobił się w rodzinnej Bydgoszczy muralu

dorobił się aż 20-metrowej kawalerki na warszawskiej Pradze. Kiedyś pojechał na rowerze do Afryki, kiedyś nagrał piosenkę z Edem Sheeranem, kiedyś postanowił zmylić kierowców wjeżdżających do Warszawy i postawił baner... „Witamy w Bydgoszczy”. Każde wyzwanie kończy charakterystycznym skwitowaniem: „łatwo” (było to zrobić!) I właśnie okazało się, że to mikroskopijne mieszkanie okazało się centrum Wszechświata, i w nim łatwo było zebrać ponad ćwierć miliarda złotych. Nie dla siebie. Impulsem dla kolejnego wyzwania Łatwoganga była akcja po cichutku prowadzona wcześniej przez pewnego chłopaka z bydgoskich Bartodziejów. Wzruszonego odwagą dzieciaków mie-

rzających się z chorobą onkologiczną. Raper Bedoes 2115 nagrał song „diss na raka” z 11-letnią Mają walczącą z z nawrotem nowotworu. Zwariowany Łatwogang zadeklarował, że będzie tak długo na żywo w kółko słuchał Mai i Bedoesa, jak wiele osób da lajka pod tą historią. Resztę znamy. Akcja trwała 9 dni, do kawalerki na Pradze pchali się wszyscy święci, wpłacaliśmy pieniądze na fundację pomagającą tym dzieciom. Uzbieraliśmy wtedy ponad 250 mln zł. W poniedziałkowy wieczór, już po końcu streamu, było nawet ponad 282 mln. Łatwo.

W spontany my, Polacy, jesteśmy najlepsi na świecie. I chyba cały świat o tej akcji usłyszał. Zgredki takie jak ja nie rozumieją do końca fenomenu internetu i pokolenia kreującego tę rzeczywistość. Na relacjonowanie tej relacji rzuciły się „stare” telewizje, które w pakiecie musiały przełknąć na żywo wiązanki bluzgów Bedoesa i jego oblizywanie palców po konsumpcji. To jest świat bez

To ich zasady, które pozwalają się wypiąć na polityków, którzy chcieliby się ogrzać w ich sławie. Nie zabrakło przy tym jadu...

filtrów, to jest ten autentyzm, który kazał ludziom uwierzyć w szczerość intencji organizatorów zbiórki na „Cancer Fighters” i ich porwał. To ich zasady, które pozwalają się wypiąć na polityków, którzy chcieliby się ogrzać przy ich sławie. Nie zabrakło przy tym jadu - witajcie w tej samej Polsce - na akcje Owsiaka. Wypominania szefowi WOŚP, że osiąga ten sam finansowy cel, co chłopak na twardym krzeselku tkwiący przed komputerem, za cenę blichtru, sztabów ludzi i wsparcia różnych możnowładców. Serio?... Naszym problemem nie są auto czy dom Owsiaka, a to, że te styczniowe akcje trzeba organizować już ponad 30 lat. Że dziura w finansowaniu służby zdrowia, ratowaniu naszego życia od tyłu lat pozostaje niezasypana. Że trzeba ciągle spontanów i społecznych zbiórek, by sobie pomóc.

Bedoes i Łatwogang chcieliby, żeby każdego roku 26 kwietnia symbolicznie dedykować dzieciom chorym na raka. Na razie nastal czas solidnych rozliczeń tej ich wielkiej zbiórki prowadzonej w sposób, o której się nam, starszym, nie śniło. Na razie słycać zapowiedź Bedoesa, że powstanie płyta, na której swoje marzenia o duetach z gwiazdami spełnią kolejne dissujące raka dzieci. Oby poszło łatwo. ©

POGODA W BYDGOSZCZY

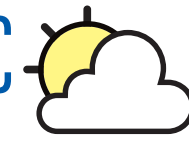
Czwartek

16°C
-3°CWiatr
płn.-zach., 14 km/h
Ciśnienie
1030 hPa
Biomet
korzystny

Piątek

23°C
3°C

Sobota

23°C
5°C

Dziś imieniny obchodzą Jakub, Katarzyna, Bartłomiej, Marian i Wawrzyniec



„Poszukiwany, Poszukiwana”.
Marysia kontra PRL
53 lata po premierze

”

„Posiadając obecną wiedzę, na pewno nie przyjąłbym tej roli. Zapisala się ona w pamięci Polaków, ale i sprawila, że nie mogłem się uwolnić od latki Marysi.”

Puls, str. 25

JUŻ TERAZ ZRÓB ZAPASY OPAŁU NA ZIMĘ!

**TANIEJ O 20ZŁ Z KODEM: www.BARTEX-WEGIEL.pl
BARTEX2026**

ZADZWOŃ! 666 102 222

ORYGINALNE PRODUKTY!



Z DOSTAWĄ PROSTO DO TWOJEGO DOMU!

**SERDECZNIE ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY
HURTOWEJ OD 24 TON! W OFERCIE: GROSZKI,
MIAŁY, ORZECHY, KOSTKI**

ZADZWOŃ! 795 437 619

Bydgoszcz

Cezary Domachowski, prezes bydgoskiej ADM odchodzi z powodów osobistych

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Jak pisaliśmy, informację o rezygnacji prezesa Administracji Domów Miejskich „Express Bydgoski” otrzymał we wtorek po południu. - Prezes ADM Bydgoszcz Cezary Domachowski złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska - poinformował Czytelnik. W przesłanym mailu wyraził zaniepokojenie sytuacją spółki.

Cezary Domachowski w tym roku skończy 64 lata. Stanowisko w Zarządzie Administracji Domów Miejskich sprawował od 2011 roku. Odszedł zatem z miejskiej spółki półtora roku przed emeryturą.

- Prezes zarządu - pan Cezary Domachowski, z przyczyn osobistych, w kwietniu bieżącego roku wypowiedział umowę o świadczenie usług zarządzania ze skutkiem na koniec lipca br. - nadal zatem pełni swoją funkcję - przypomina Magdalena Marszałek, rzecznik Administracji Domów Miejskich.

Czytelnik w liście do redakcji „Expressu Bydgoskiego” wspominał o nadchodzących zwolnieniach wśród pracowników.

- Na chwilę obecną nie zapadły inne decyzje personalne, w tym dotyczące zwolnień pracowników - podkreśla Magdalena Marszałek. ©



Cezary Domachowski

17-latek strzelał do kolegi na Orliku przy Sardynkowej

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Prokurator podjął postępowanie z urzędu, ponieważ sprawa dotyczy dwóch osób nieletnich. Poszkodowane przez agresora miało zostać 14-letnie dziecko

Policja wyjaśnia okoliczności zdarzenia, do którego doszło około godziny 17. w minioną niedzielę 26 kwietnia na terenie Orlika przy ulicy Sardynkowej na bydgoskiej Osowej Górze.

Ze zgłoszenia, które trafiło do policji, wynika, że miało dojść do postrzelenia. - Metalowe kulki wystrzelone z pistoletu sprężynowego przez 17-latkę trafiły chłopca liczącego 14 lat w klatkę piersiową i w nogi - mówi nadkom. Lidia Kowalska, z zespołu komunikacji społecznej Komendy Miejskiej Policji w Bydgoszczy.

Jak wynika z ustaleń policji, w wyniku tego zdarzenia trafiony 14-latek nie doznał obrażeń. Gdy jednak między nastolatkami wywiązała się sprzeczka, starszy uderzył młodszego pistoletem w głowę. Doszło do powstania zranienia.

- W sprawie jest prowadzone postępowanie w kierunku stwierdzenia czynu o charakterze chuligańskim, kwalifikowane jest z artykułu 157 paragraf 2 kodeksu karnego - wyjaśnia nadkom. Lidia Kowalska.

Wskazany przepis stanowi: „Kto powoduje naruszenie czynności narządu ciała lub rozstrój zdrowia trwający nie dłużej niż 7 dni, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”.

- Wobec 17-latka zastosowano dozór policyjny i zakaz zbliżania się do poszkodowanego - wyjaśnia policja. ©

„Belma” wyprodukuje milion min! Jest umowa z Agencją Uzbrojenia

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

W środę, 29.04, w bydgoskich zakładach „Belma” - w obecności wicepremiera i ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza - Agencja Uzbrojenia podpisała umowę na produkcję min narzutowych. Belma ma ich wyprodukować milion za 3,4 miliarda złotych!

Polska podjęła decyzję o wznowieniu produkcji min przeciwpiechotnych po raz pierwszy od czasów zimnej wojny. To w celu wzmocnienia wschodniej granicy kraju, a także jako potencjalne wsparcie Ukrainy. Milion min wyprodukują bydgoskie zakłady „Belma”.

W środę bydgoskiej firmie podpisano umowę na produkcję min do systemu Baobab. Jeden pojazd Baobab-K potrafi postawić pole minowe o długości blisko 2 kilometrów w czasie poniżej 22 minut. W warunkach konfliktu, gdzie o przewadze decydują minuty, taka zdolność do szybkiego ryglowania kierunków natarcia jest bezcenna. Automatyzacja pozwala na błyskawiczne dostosowanie gęstości zapory do sytuacji taktycznej: czyni to bydgoski produkt jednym z najnowocześniejszych w swojej klasie w Europie.

Podpisany w środę kontrakt wyceniony został na 3,4 mld zł - to wartość łącznie z opcją - przewiduje dostawę bojowych i ćwic-



Wicepremier - minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz oraz przedstawiciele załogi Belmy

zebnych min narzutowych w latach 2027-29.

- To kolejny ważny kontrakt. Budujemy potencjał polskiej obronności dzięki polskim firmom. Dzisiaj w „Belmie” w Bydgoszczy podpisujemy kontrakt na 3,4 miliarda zł dotyczący zakupu min przeciwpancernych. Pierwsza część umowy - na 60 tysięcy min - już podpisana i kolejne w drodze. To buduje bezpieczeństwo Polski po wyjściu z konwencji ottawskiej. Będziemy też niedługo zamawiać miny przeciwpiechotne - przyznał Władysław Kosiniak-Kamysz, szef MON.

Stukrotny wzrost rozwiązań przeciwpancernych
- Aby sprostać realizacji tak dużych zamówień, bydgoska

„Belma” przy wsparciu właścicieli, to jest Ministerstwa Aktywów Państwowych, jak również zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej, w ciągu ostatnich czterech lat konfliktu za wschodnią granicą systematycznie rozwijała swoje zdolności produkcyjne. Obecnie przekraczają one 30-krotność wcześniejszych zdolności, a dzięki realizacji programu inwestycyjnego zwanego programem 311 dążymy do osiągnięcia ponad stukrotnego wzrostu w obszarze rozwiązań przeciwpancernych - dodał p.o. prezesa „Belmy” Jarosław Zakrzewski.

Konwencja Ottawska wypowiedziana
To element projektu „Tarcza Wschód”. Proces ten jest związany z decyzją prezydenta

o wycofaniu się z Konwencji Ottawskiej, międzynarodowego traktatu zakazującego produkcji, użycia i magazynowania takich min.

Sześciomiesięczny okres wypowiedzenia traktatu skończył się 20 lutego 2026 roku. W grudniu 2024 r. Finlandia ogłosiła, że rozważa wycofanie się z konwencji. W marcu ministrowie obrony Polski i państw bałtyckich zasygnalizowali zamiar podjęcia podobnych działań.

Miliardy na tarczę

Program „Tarcza Wschód” to nie tylko betonowe fortyfikacje, ale przede wszystkim zaawansowane systemy inżynieryjne służące do tzw. Area Denial (blokowania dostępu).

Rząd zapowiedział przeznaczenie na ten cel 10 mld PLN do 2028 roku, a znaczna część tych środków trafi do rodzimego przemysłu zbrojeniowego, wzmacniając gospodarkę.

Obecny rok jest kluczowy dla „Belmy” pod kątem realizacji zamówień. Strategia obronna zakłada ścisłą integrację systemów minowania z rozpoznaniem i ogniem artylerii. Bydgoskie zakłady dostarczają więc komponent, który ma za zadanie skanalizować ruch wojsk przeciwnika w miejsca, gdzie najłatwiej je zneutralizować. To technologiczny skok pozycjonujący lokalny przemysł jako gwaranta bezpieczeństwa wschodniej flanki. ©

Rajd rowerowy, spacer, koncert, atrakcje dla najmłodszych i wspólne świętowanie Dnia Flagi i Święta Konstytucji

Opr. RedEx/UMB
redakcja@polskapress.pl

Bydgoski Stary Rynek będzie miejscem głównych obchodów Dnia Flagi Rzeczypospolitej Polskiej oraz 235. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

Początek maja to wyjątkowe dni w historii Polski. W sobotę, 2 maja świętować będziemy Dzień Flagi. Z tej okazji zapraszamy Bydgoszczanki i Bydgoszczan na Stary Rynek. O godz. 12.00 odśpiewany zostanie Hymn Państwowy, a na maszt wciągnięta zostanie biało-czerwona flaga. Po oficjalnej uroczystości nastąpi start do rodzinnego rajdu rowerowego. Jego meta znajdować się będzie na nabrzeżach w Starym Fordonie. Obowiązują zapisy.

Także w niedzielę, 3 maja będziemy mieć okazję do święto-

wania. Właśnie wtedy obchodzimy 235. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Oficjalne uroczystości odbędą się o godz. 12 na Starym Ryнку. Poprzedzi ją msza św. w intencji Ojczyzny odprawiona w Katedrze Bydgoskiej. Obok oficjalnych obchodów na Starym Ryнку na Bydgoszczanki i Bydgoszczan

czekać też będą stoiska edukacyjne, „kącik Małego Patrioty”. Będzie można wysłuchać koncertu Zespołu Pieśni i Tańca „Płomienie”, a także wybrać się na spacer tematyczny z przewodnikiem o godz. 13.30 i 15.00. Obowiązują zapisy. Zgłoszenia należy przesyłać na adres: informacja@bydgoszcz.uw.gov.pl

Organizatorami uroczystości są wojewoda kuj.pom. Michał Szytybel, marszałek województwa kuj.pom. Piotr Całbecki, prezydent Bydgoszczy Rafał Bruski oraz Szef Inspektoratu Wspierania Sił Zbrojnych Dowódca Garnizonu Bydgoszcz gen. dyw. Dariusz Mendrala.



Tak było w Bydgoszczy podczas ubiegłorocznego Święta Flagi. W tym roku władze miasta zapraszają 2 maja o godz. 12.00 na Stary Rynek

Patriotyczna majówka z wojskiem w muzeum

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy zaprasza do Osówca na wydarzenie patriotyczne w ramach majówkowych obchodów 1-3 maja.

W programie będą liczne atrakcje, m.in. prezentacja i uruchomienie pojazdów wojskowych, inscenizacje historyczne, wojskowy poczęstunek. W dniach 1-3 maja MWL w Osówcu będzie czynne od 10 do 16. Goście obejrzą inscenizację: 1. Armia Wojska Polskiego (piątek, 11.00 i 13.00), Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie (sobota, 11.00 i 13.00), Wojsko Polskie 1939 (niedziela, 11.30 i 14.00). Szczegółowy program dostępny jest na stronie internetowej www.muzeumwl.pl

W filii Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy na Osowej Górze można zobaczyć między innymi jeden z najrzadszych pojazdów inżynierskich, jakie trafiły do Wojska Polskiego - SUM-Kalina, czyli samobieżny ustawiacz min zbudowany na podwoziu ciągnika artyleryjskiego MTS. Pojazd powstał

pod koniec lat 80. jako wspólny projekt Polski i NRD. Strona polska odpowiadała za konstrukcję pojazdu bazowego, natomiast wschodniemiecka opracowała urządzenie minujące wraz z systemem sterowania. Pierwszy model był gotowy w 1989 r. Po zjednoczeniu Niemiec prace zostały dokończone samodzielnie przez polskich inżynierów z OBRUM w Gliwicach, przy współudziale Wojskowego Instytutu Techniki Inżynierskiej. Pojazd umożliwia szybkie tworzenie zapór minowych w różnych warunkach. Miny mogą być układane w ruchu, zarówno niemaskowane, jak i maskowane, a także w wodzie o głębokości do 0,9 metra. Odstępy między minami są regulowane, co pozwala dostosować pole minowe do sytuacji taktycznej. SUM współpracował między innymi z minami przeciwpancernymi TM-62 oraz MPP-B. Do uzbrojenia Wojska Polskiego trafiły tylko 3 egzemplarze. Zostały one wycofane ze służby do 2015 r. Dziś SUM-Kalina stanowi unikatowy eksponat, przypominający o rozwoju wojsk inżynierskich i realiach końca zimnej wojny. ©

Po weekendzie duże zmiany dla kierowców i pasażerów

Jarosław Więclawski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

Po majówce rozpoczną się nowe prace przy budowie bydgoskiej retencji. Będą utrudnienia i zmiany w komunikacji miejskiej.

Prace rozpoczną się na ul. Inowrocławskiej oraz skrzyżowaniu ul. Staszica, H. Kołłątaja i W. Reymonta. Roboty te realizować będzie firma Meliorex. Z kolei firma Strabag rozpocznie prace na ul. Podchorążych i Raclawickiej.

W związku z dużym zakresem robót prowadzonych od ul. Inowrocławskiej nr 48 do ul. Żwirki i Wigury, realizowane będą etapami. W pierwszym etapie - który zakończyć ma się w wakacje - odcinek od ul. Żwirki i Wigury do ul. Skorupki. Po zakończeniu tych prac rozpoczną się roboty od ul. Skorupki do ul. Inowrocławskiej 48. Oba etapy będą wiązać się z zamknięciem przejazdu i objazdami. Koniec prac zaplanowano jesienią. Od 4 maja zamknięty będzie odcinek ul. Żwirki i Wigury od nr 54 do skrzyżowania z ul. Skorupki.



FOT. MWIK

W poniedziałek rozpocznie się podłączanie zbiornika retencyjnego wybudowanego pod skwerem Leszka Białego do istniejącej kanalizacji deszczowej

Zalecany objazd Bielićką, Solskiego, Piękną i Szubińską.

Od poniedziałku zmienią się trasy przebiegu linii autobusowych 64, 69 i 89. Od przystanku Szubińska/Żwirki i Wigury autobusy pojadą Szubińską, Piękną, Solskiego i ks. Skorupki, by dalej od przystanku Inowrocławska/Skorupki wrócić na standardową trasę (analogicznie w przeciwnym kierunku). Z obsługi pasażerskiej wyłączony będzie przystanek Żwirki i Wigury/Jaskółcza, a włączone będą: Szubińska/Gnieźnińska, w obu kierunkach; Szubińska/Piękną, w kierunku pętli Błonie oraz Barwna; Piękną/Szubińską, w kierunku pętli Tatrzaniec oraz Przemysłowa; Solskiego/Kosaka, w obu kierunkach; Skorupki/Czackiego, w obu kierunkach.

4 maja rozpocznie się też podłączanie zbiornika retencyjnego pod skwerem Leszka Białego do kanalizacji deszczowej. Prace będą wiązały się z zamknięciem dla ruchu skrzyżowania ulic Staszica, H. Kołłątaja i W. Reymonta (skrzyżowanie przy VI LO). Objazd od Al. Mickiewicza w kierunku ronda Jagiellonów: Powstańców Wielkopolskich, Ogińskiego i Jagiellońskiej. W przeciwnym kierunku objazd ulicami Markwarta i Al. Ossolińskich. Z ulicy Paderewskiego będzie możliwość skrętu w ul. M. Kopernika.

W Śródmieściu zmianie ulegną trasy linii autobusowych nr 52, 59, 60, 64 oraz 33N. Linia nr 52 od przystanku UKW oraz linie nr 33N i 64 od przystanku Rondo Wielkopolskie, w kierunku pętli Błonie oraz Barwna skierowane zostaną trasą czasowo zmienioną Al. Ossolińskich, ul. Piotrowskiego i Jagiellońską do ronda Jagiellonów. Linie 59 i 60 od ronda Ossolińskich również pojadą ulicami Piotrowskiego i Jagiellońską do ronda Jagiellonów.

©

MATERIAL INFORMACYJNY ORLEN

0011515375

Local content, czyli „polskie, dobre i rozsądne cenowo”

Nowa inicjatywa rządu - „local content” - ma zmienić sposób myślenia o zamówieniach publicznych i dużych inwestycjach. Kluczowe znaczenie zyskują nie tylko cena, lecz także jakość oraz realny wkład krajowych firm w realizację projektów..

„Local content” realizowany przez Ministerstwo Aktywów Państwowych jest ważną częścią rządowej strategii gospodarczej. Jego głównym celem, zwłaszcza w inwestycjach realizowanych przez spółki z udziałem Skarbu Państwa, jest możliwie jak największe polonizowanie łańcuchów dostaw. O szczegółach nowej inicjatywy, w środę 22 kwietnia podczas pierwszego dnia tegorocznego EKG, opowiedział Wojciech Balczun, Minister Aktywów Państwowych.

- Inicjatywa „local content” to jest zmiana mentalności, to jest coś, co wykracza poza horyzont najbliższych kilku lat, tylko coś, co powinniśmy zaszczepiać w rzeczywistości spółek skarbu państwa, w całym sektorze publicznym i nie tylko, bo przecież przetargi i zamówienia realizowane są również w firmach prywatnych - podkreśla Wojciech Balczun.

Zmiana jest fundamentalna, ponieważ jak dotąd przy zamówieniach publicznych najczęściej o wyborze oferty decydowała najniższa zaproponowana cena, co nie zawsze wpływało na sukces danego przedsięwzięcia. Teraz o wyborze najkorzystniejszej oferty mają decydować też „elementy badania jakości podmiotu”, czyli np. to, gdzie dany podmiot płaci podatki, ile tworzy miejsc pracy, gdzie znajduje się jego rezydencja itd.

Minister aktywów podkreślił, że „local content” ma pomóc odwrócić trend, w którym to największe podmioty otrzymują największe kontrakty. W ramach tej inicjatywy przedsiębiorcy mają mieć ułatwiony dostęp do instrumentów finansowych takich jak np. gwarancje i pożyczki certyfikacyjne. W MAP powołany został już w tym celu specjalny zespół.

W pierwszych projektach realizowanych w ramach inicjatywy „local content” udział polskiego komponentu ma wynieść około 21 proc., a w kolejnych inwestycjach wzrosnąć do blisko 40 proc. Mowa o projektach w sektorze energetycznym, a dokładniej offshore, czyli związa-



nych z farmami wiatrowymi. Liderem w tym obszarze jest ORLEN.

Prezes Ireneusz Fąfara wyjaśnił, że udział polskich firm w projektach offshore będzie stopniowo zwiększany. Podkreślił, że rola krajowych dostawców nie ogranicza się jedynie do etapu budowy - kluczowe znaczenie będą mieć również w fazie eksploatacji, odpowiadając za utrzymanie i obsługę inwestycji.

Zaznaczył również, że ORLEN od kilku lat przygotowwał się do wdrożenia modelu „local content”, rozwijając wiedzę na temat po-

tencjału polskiego przemysłu oraz budując relacje z partnerami. Dzięki temu możliwe jest dziś realne zwiększenie udziału krajowych firm w dużych projektach energetycznych.

- Budowaliśmy od podstaw wiedzę na temat możliwości wykorzystania polskiego przemysłu oraz krajowej myśli technologicznej i naukowej w projektach offshore. Wymagało to zbudowania relacji i współpracy z podmiotami, które mogłyby w nich uczestniczyć - a więc także jasnego komunikowania, co robimy, jak pracujemy, jakie

mamy wymagania technologiczne i harmonogramy dostaw. Ten proces trwa od kilku lat, dlatego zaczynamy od obecnego poziomu, a w kolejnych projektach zakładamy już wyraźnie większy udział - podkreśla szef ORLENU.

Dodał, że inicjatywa ta nie opiera się wyłącznie na patriotyzmie gospodarczym - jej celem jest współpraca z firmami, które są konkurencyjne jakościowo i cenowo.

Prelegenci podczas panelu na EKG zwracali również uwagę na potrzebę ochrony własnego rynku i krajowy udział w inwestycjach.

Inicjatywa „local content”. Z korzyścią dla Polski została wypracowana w ramach zespołu powołanego przez ministra aktywów, z udziałem przedstawicieli innych resortów, a także Urzędu Zamówień Publicznych, Głównego Urzędu Statystycznego oraz Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych.

- Dementuję plotki: nie musimy zmieniać prawa zamówień publicznych. Poruszamy się w rzeczywistości prawnej, która funkcjonuje. Te sygnały, które będą z naszej strony szły, będą bardzo konsekwentne. W najbliższym czasie zostanie podpisany przez premiera kodeks dobrych praktyk, który będzie w szerszej formule określał, jak rozumiemy komponent krajowości - mówi Wojciech Balczun.

Eksperci w Katowicach podkreślali także, że „local content” może wywołać „efekt mnożnikowy” oraz synergii między krajowymi podmiotami. Budowanie wewnętrznych, lokalnych łańcuchów dostaw dodatkowo zapewni krajowej gospodarce bezpieczeństwo i większą odporność na globalne kryzysy.

300 milionów dla CO. Rozbudowa potrwa 4 lata

Adam Szczęśniak
adam.szczesniak@polskapress.pl

Prof. Janusz Kowalewski, dyrektor regionalnego Centrum Onkologii w Bydgoszcy złożył w środę podpis pod umową z ministerstwem zdrowia o trzystumilionową dotację z Funduszu Medycznego.

300 milionów złotych z MZ to główne wsparcie półmiliardowej inwestycji współfinansowanej pieniędzmi budżetu województwa oraz budżetu własnego szpitala. Dlatego uroczystość odbyła się w obecności Piotra Całbeckiego, marszałka województwa kujawsko-pomorskiego oraz Piotra Hemmerlinga, wicewojewody kujawsko-pomorskiego.

Rozbudowa i modernizacja CO stanowi realną szansę na poprawę jakości diagnostyki i leczenia nowotworów w regionie.

Nasze Centrum Onkologii znalazło się wśród 20 placówek, które otrzymują tego rodzaju dotację. Wśród 57 podmiotów, które przystąpiły do rozpisane go przez Ministerstwo Zdrowia konkursu o finansowanie projektów strategicznych, zostało sklasyfikowane na trzecim

miejscu! To szpital, który diagnozuje i leczy pacjentów na najwyższym światowym poziomie, stale się modernizuje i rozwija i jest od lat jednym z najlepszych w Polsce. W medycynie nie ma jednak zamkniętych projektów, stąd konieczność nowych inwestycji, by dotrzeć kroku najlepszym na świecie - podkreśla marszałek Całbecki.

W ramach założonego na lata 2026-2029 przedsięwzięcia zaplanowano powstanie nowoczesnego 5-kondygnacyjnego budynku Centrum Innowacyjnych Terapii Onkologicznych (w którym zostaną zlokalizowane oddziały onkologii klinicznej, ambulatorium chemioterapii, pracownie cytostatyków).

Zaplanowano również modernizację budynku głównego (z rozbudową bloku operacyjnego do 11 sal operacyjnych i powiększeniem oddziału intensywnej opieki medycznej, unowocześnieniem zakładu endoskopii, apteki szpitalnej i zakładu patologii nowotworów).

Do tego w projekcie jest też budowa naziemnego parkingu wielopoziomowego (na 212 miejsc). ©©

Na Starym Rynku mieszkańcy zatańczyli belgijkę i nie tylko

Małgorzata Pieczyńska
malgorzata.pieczynska@polskapress.pl

„Bydgoszcz tańczy” - pod takim hasłem obchodzone wczoraj na Starym Rynku w Bydgoszcy Międzynarodowy Dzień Tańca. Wspólnie zatańczyli najmłodsi, uczniowie, studenci i seniorzy.

To było piękne międzypokoleniowe spotkanie z tańcem w roli głównej. W ten sposób uczczono właśnie Międzynarodowy Dzień Tańca, który przypada 29 kwietnia. Tegoroczne wydarzenie „Bydgoszcz tańczy” miało wyjątkowy charakter, ponieważ wpisuje się także w obchody 680. rocznicy nadania praw miejskich naszemu miastu.

Na wydarzenie „Bydgoszcz tańczy” zaprosili: Miejskie Centrum Kultury w Bydgoszcy, Młodzieżowy Dom Kultury nr 4, Fundacja Inicjatyw Kulturalnych „Play Art”, 5 Element Street Dance Studio oraz Zespół Pieśni i Tańca Płomienie. Imprezę na Starym Rynku poprowadziły Magdalena Maria Przepierska i Izabela Grochowska.



FOT. DARIUSZ BŁOCH

Tak na Starym Rynku w Bydgoszcy świętowano Międzynarodowy Dzień Tańca, który przypada 29 kwietnia

- Tańiec to też muzyka, dlatego promowaliśmy Bydgoszcz jako Miasto Muzyki UNESCO - mówi Izabela Grochowska, kierownik artystyczna Zespołu Pieśni i Tańca „Płomienie”, który działa przy MDK nr 4. -

Tym razem postanowiliśmy zaprezentować różne formy taneczne i spiąć to nauką różnych tańców - wyjaśnia Izabela Grochowska.

Można było nauczyć się i zatańczyć np. belgijkę - popularny

na całym świecie taniec integracyjny. Był też instruktaż i wykonanie kujawiaka - jednego z pięciu polskich tańców narodowych, który wywodzi się z naszego regionu. Nie zabrakło też improwizacji tańca street dance i pokazów tanecznych solo w kole. Seniorzy z kolei zaprezentowali taniec w kręgu.

- Do udziału zaprosiliśmy zarówno dzieci z przedszkoli, uczniów bydgoskich szkół podstawowych i ponadpodstawowych, studentów z Collegium Medicum UMK, seniorów oraz wszystkich miłośników tańca - mówi Izabela Grochowska. - Chcieliśmy, aby było to wielkie taneczne święto w samym sercu Bydgoszcy i to się udało.

Przypomnijmy, że Międzynarodowy Dzień Tańca został ustanowiony w 1982 r. przez Komitet Tańca Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI-UNESCO). Datę święta - 29 kwietnia - wybrano na pamiątkę chrztu Jeana-Georges'a Noverre'a, wybitnego reformatora sztuki tańca, twórcy europejskiego teatru baletowego, francuskiego tancerza i choreografa. ©©

REKLAMA

0011509798



SOLANKI

Uzdrowisko Inowrocław

CZERWCOWA REGENERACJA



7 noclegów w terminie
od 31.05 do 7.06.2026 r.



trzy posiłki dziennie
w formie bufetu szwedzkiego



konsultacja lekarska



20 zabiegów w trakcie pobytu



7 wejść do Strefy Relaksu
(grota solna, sauna fińska i parowa,
jacuzzi, siłownia)



voucher do Integracja Cafe

☎ 52 356 31 01 ☎ 52 356 31 00 ☎ 52 356 33 20 📧 rezerwacja@solanki.pl 🌐 www.solanki.pl

Kasia i Karolina w piosence o tym, co zostaje, gdy opadają złudzenia. O samotności we dwoje

Magda Jasińska
Zwierzenia przy muzyce

Kasia Moś i Karolina Lyndo nagrały duet. Emocjonalna ballada „Półprawda” opowiada o miłości w momencie peknięcia - kiedy coś jeszcze trwa, ale już zaczyna się rozmywać.

Jak w ogóle doszło do Waszego duetu?

K.M.: Parokrotnie widziałam Karolinę na social mediach. Później się okazało, że Karolina lubi moją muzykę i lubi mnie. Na jakimś koncercie widziałam, jak Karolina śpiewała utwór „Zapomnij” z Adamem Sztabą i wtedy pomyślałam sobie: „ale śpiewa ta dziewczyna?”. Na co dzień współpracuję z Mateuszem Krautwurstem. Zadzwoeniłam do Mateusza i akurat tak się złożyło, że była u niego w studiu Karolina, która też zaczęła z nim pracować i mnie pozdrowiała. Potem przyjechałam do Mateusza do studia. Okazało się, że nagrali wspólnie piosenkę. Mati mi ją włączył, ja mówię: „ale su-

per, ale piękna piosenka. Może Karolina chciałaby ten utwór odsprzedać?” Zadzwoenił, a Karolina powiedziała: „Nigdy w życiu”, bo to jest dla niej tak ważna piosenka. Więc wyrwało mi się: „to Karola, może zrobiliśmy duet.”

Muzykę napisał Mateusz?

K.M.: Tak i Karolina. Tak rozpoczęła się współpraca Karoliny z Mateuszem.

K.L.: Po występie z Adamem Sztabą fragment utworu „Zapomnij”, który wtedy, podczas Orchestra4Young zaśpiewałam, wrzuciłam na swoje social media, ale to było jeszcze podczas O4Y i wtedy Mateusz też zauważył tę rolkę, udostępnił na swoich socialach i w ten sam dzień się odezwał do mnie mówiąc: „Dziewczyno, masz piękny kawał głosu. Jak coś piszesz sama, to wpadaj do mnie do studia, mam pyszną kawę, porozmawiamy sobie i coś razem napiszemy. A jak nic nie piszesz, to jestem w stanie napisać dla ciebie utwór od zera”. Zaczęliśmy do siebie pisać, ustalać termin, ale później Ma-



FOT. JULITA GÓRSKA

Zwierzenia przy muzyce Kasi Moś i Karoliny Lyndo w sobotę o godz. 18.05 na antenie radia PiK

teuszowi urodziła się córka, u mnie doszły problemy zdrowotne i nasza rozłąka trwała z rok. Po roku odważyłam się napisać. Wahałam się, czy się odezwać. Ale się odezwałam do niego i on krótko napisał: „tak oczywiście czekam, wpadaj”. No i ustaliliśmy już dogodny termin, przyjechałam i tak to się wszystko potoczyło. Dla mnie do tej pory to jakiś sen.

Jest szansa na więcej, niż jedna piosenka w waszym duecie?

K.M.: Zobaczymy. Karolina zapytała mnie czy usłyszałam kolejną piosenkę, którą z Mateuszem piszę, ale jakoś Mateusz nic mi nie pokazał, więc pewnie się boi, że znowu będę chciała zaśpiewać duet. Może teraz on będzie chciał zaśpiewać spryciarz z Karoliną i nie chce mi pokazać. Duet kobiecy jest fajny i ważny, bo uważam że to tro-

chę tak, jak w rodzinie. Ja na przykład z moim bratem też bardzo dobrze brzmiemy jak śpiewamy na dwa głosy i tutaj tak samo. Zresztą dzisiaj też rozmawialiśmy o tym, że ja będę miała swoje koncerty na jesieni tego roku jeszcze i na pewno będziemy „Półprawdę” wykonywać.

Kasiu, ty jesteś takim niespokojnym duchem, lubisz różne duety, różnych artystów.

K.M.: Lubię zdolnych, młodych ludzi, bo uważam że za mało jest świeżych głosów, zdolnych głosów, świeżych twarzy na naszym rynku. Większość artystów, którzy mają już utwory na swoim koncie, dorobek artystyczny, woli jednak poruszać się w tym świecie znajomych, którzy są już na jakimś etapie kariery. Rzadko kiedy, oczywiście zdarza się to, zaglądamy do i poszukujemy wśród młodych i chcę im pomóc. Tutaj tak sobie pomyślałam, że to będzie fajne, żeby pomóc takiemu zdolnemu człowiekowi jak Karolina. Mam nadzieję, że tak będzie, a nie że zaszkodzę.

A czy łatwo jest w ogóle zabłysnąć i pokazać siebie samą, bez żadnych dróg na skróty, całemu światu?

K.L.: Ta moja podróż artystyczna nie była łatwa, bo wszystko do tej pory robię sama, piszę tekst i muzykę. Staram się sama wszystko promować, tak jak to rozumiem i tak, jak tego się nauczyłam. Może popełniam błędy, tak jak każdy artysta na początku swojej drogi, ale ja się nie poddaję, bo kocham ten zawód, kocham muzykę. Czasami zadaję sobie pytanie, a co jeszcze mogę robić oprócz muzyki? Chyba nic? Jedyne, co mogę to być sobą i pozostawać tym dobrym człowiekiem, niezależnie jaką będę napotykała sytuację życiową, więc może i też w swojej twórczości zawieram takie głębokie tematy bycia sobą, tę prawdę. Szanuję swojego słuchacza, bo wiadomo jeszcze to grono z każdym czasem się powiększa. Jeszcze nie mam stałych fanów, ale mam nadzieję, że w przyszłości oni będą. ©@

MATERIAL INFORMACYJNY TOTALIZATORA SPORTOWEGO

0011513740

Szara strefa kasyn internetowych tematem debaty na EKG. „Tłumaczenie, że możliwe są wyższe dochody państwa dzięki prywatnym firmom, to fikcja”

Podczas EKG w Katowicach Radosław Kietliński, Doradca Zarządu Totalizatora Sportowego odniósł się do postulatów otwarcia rynku kasyn online. Przedstawiciel spółki nazwał wizję wyższych wpływów z demonopolizacji „fikcją”. Podkreślił, że obecny system gwarantuje bezpieczeństwo graczy.

Hazard w szarej strefie tematem EKG. Radosław Kietliński z Totalizatora Sportowego o przyszłości kasyn online

W Katowicach zakończył się Europejski Kongres Gospodarczy (EKG 2026). To wielowymiarowe wydarzenie co roku gromadzi tysiące uczestników, a harmonogram debat wypełniają setki tematów. Wśród wielu równoległe toczących się dyskusji, jedna z sal konferencyjnych stała się miejscem wymiany opinii na temat szarej strefy w branży hazardowej. W obliczu głosów branży bukmacherskiej, sugerujących otwarcie rynku, mocny głos w obronie obecnego status quo zabrał Radosław Kietliński, Do-



radca Zarządu Totalizatora Sportowego.

Szara strefa w liczbach – miliardowe straty czy bezpieczny monopol?

Debata o monopolu państwa toczy się wśród różnego rodzaju prób oszacowania skali nielegalnego hazardu. Niewątpliwie pozostaje on wyzwaniem dla państwa i jego instytucji. Szacuje się, że w latach 2026–2030 budżet państwa może stracić kilka miliardów złotych z tytułu nieodprowadzonego podatku od gier. Estymowana wartość hazardowej szarej

strefy wciąż rośnie, a z nielegalnych serwisów miałyby korzystać nawet 3,1 mln użytkowników.

Dane te jednak stoją w sprzeczności z analizami uczestników rynku (m.in. Totalizatora Sportowego), ale również z publikacjami Ministerstwa Finansów. Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna liczbę użytkowników nielegalnych kasyn szacuje natomiast na kilkaset tysięcy, a więc mniej niż zarejestrowało się w jedynym legalnym kasynie internetowym w Polsce. System, który wymyślił legislator przed laty, jest sy-

stemem spójnym, bezpiecznym i racjonalnym. Przede wszystkim tłumaczenie, że możliwe są wyższe dochody państwa dzięki wprowadzeniu na polski rynek legalnych, kolejnych, prywatnych kasyn internetowych, to jest fikcja i to jest taka propaganda. Ten rynek nie opiera się na maksymalnych wpływach do budżetu, ale na równowadze między zyskiem a bezpieczeństwem graczy – podkreślił Radosław Kietliński.

Miliardy na sport i kulturę. Rola monopolisty w finansowaniu celów społecznych

Przedstawiciel Totalizatora Sportowego zwrócił uwagę, że choć szara strefa istnieje, to obecny monopol gwarantuje realne wsparcie dla kluczowych obszarów życia społecznego, których prywatne firmy mogłyby nie finansować w tak dużym stopniu. – Do budżetu państwa poza podatkami płyną także dopłaty na istotne cele społeczne. Dwa najpoważniejsze to wsparcie sportu i wsparcie kultury. W tych

obszarach w zeszłym roku przeznaczyliśmy na ten cel półtora miliarda złotych. To są nieprawdopodobnie pieniądze. Nie widzimy powodu, żeby niszczyć sprawny system – wyjaśniał Doradca Zarządu.

Dostępność kasyn online powinna być niewielka

Sceptycyzm wobec liberalizacji potwierdzają wyniki badania opinii publicznej przeprowadzonego przez Centrum im. Adama Smitha za pośrednictwem panelu Ariadna (metoda CAWI). 71 proc. respondentów odpowiedziało, że dostępność do kasyn internetowych w Polsce powinna być niewielka, a 62 proc. wskazuje na ryzyko uzależnień młodych dorosłych w wieku 18-25 lat jako jeden z głównych problemów związanych z ewentualnym upowszechnieniem kasyn online. Jednocześnie ponad trzykrotnie więcej badanych Polaków popiera monopol niż jest mu przeciwnych.

Radosław Kietliński odniósł się także sceptycznie

do pomysłów kopiowania rozwiązań z zagranicy, takich jak model fiński czy holenderski.

– Holendrzy dzisiaj płaczą z powodu demonopolizacji. Szara strefa wcale nie spadła, a wzrosła liczba osób uzależnionych od hazardu. Z kolei w Finlandii, na którą często powołują się przeciwnicy monopolu, gra w nielegalnych kasynach nie jest przestępstwem, a wygrane zostają w kieszeni gracza. W Polsce jest odwrotnie – gra w nielegalnych operatorów to przestępstwo, a środki przepadają. Traktowanie rynku fińskiego jako wzór jest błędem – podkreślił Kietliński.

Bezpieczeństwo gracza ponad zysk budżetowy

Podsumowując swoje wystąpienie, Radosław Kietliński zaznaczył, że monopol zapewnia to, czego inne modele mogą nie posiadać: pełne bezpieczeństwo transakcji i odpowiedzialność za gracza.

– Droga do demonopolizacji jest drogą w jedną stronę, nie da się z niej zawrócić – ostrzegł Kietliński.

Pierwsza komunia święta prawie jak wesele

Karolina Rokitnicka
karolina.rokitnicka@polskapress.pl

Pierwsza komunia święta to jedno z najważniejszych wydarzeń rodzinnych. Organizacja przyjęcia jest sporym wyzwaniem - zarówno logistycznym, jak i finansowym.

Przygotowanie imprezy w domu ma wiele atutów. Zwalnia z poszukiwań alternatywnego miejsca. Zwykle jest to dużo tańsza wersja niż świętowanie w restauracji. Organizowałam komunie dzieci w domu, korzystając z cateringu. Jest to zdecydowanie tańsze niż w restauracji, z obsługą kelnerską i napojami w cenach lokalowych. Nie tylko o ekonomię chodziło. Nie wyobrażam sobie imprezy dzieci w miejscu, gdzie nie ma ogrodu, a z budynku wychodzi się na parking czy ulicę. Poza tym moich dzieci nie bawi siedzenie w restauracji przy stole, a to przecież ich święto. Nasz dom jest duży, więc przyjęcie 20 osób nie jest problemem - mówi pani Katarzyna.

Wśród minusów „domówek” jest sprzątanie, odgrzewanie, podawanie dań, kompletowanie zastawy, krzesel, zakupy. Jeśli miejsce nas ogranicza lub chcemy być

gośćmi, restauracje w regionie mają szeroką ofertę.

Do wyboru są m.in. duże sale weselne (100+ osób), restauracje, zajazdy, gospodarstwa agroturystyczne (50-120 osób), dworki i pałace (z klimatem i ogrodem), mniejsze sale (do 50 osób). Wiele lokali ma po kilka sal, różnej wielkości. Niektóre oferują podział dużej sali parawanami, by zorganizować na niej uroczystość dla kilku rodzin. Warto więc pytać o zasady - czy sala jest na wyłączność.

Podpisując umowę z restauracją, warto doprecyzować konkretne, jak ostateczna cena (czy może wzrosnąć), czy są wliczone napoje, ciasta, owoce, deser, tort, obsługa kelnerska, naczynia, serwis zewnętrznych produktów, jakie są zniżki na dzieci (do ilu lat).

Rezerwacje komunijne są robione nawet 2 lata wcześniej. Najbardziej popularne terminy są na majowe niedziele. Jest sporo lokali, które mają jeszcze pojedyncze wolne daty na ten rok. Trzeba jednak działać szybko. Jakimś pomysłem jest poszukanie lokalu w mniejszej miejscowości, gdzie komunie są tylko w 1-2 weekendy, a inne pozostają wolne. Warto też dowiedzieć się w „zajętej restauracji” czy jest opcja listy rezerwowej -

bywa, że rezerwacje są wycofywane.

Koszty komunii w Polsce wyraźnie rosną i w wielu przypadkach zaczynają przypominać małe wesele.

Cena „talerzyka”:

- średnio 180-300 zł za osobę
- średnia krajowa: ok. 225 zł za osobę,
- w droższych lokalach - nawet 400 zł za osobę.

Całkowity koszt:

- małe przyjęcie (ok. 25 osób): od 5000-6000 zł,
- standardowe przyjęcie od 5000-24000 zł
- rozbudowane uroczystości: nawet kilkadziesiąt tysięcy zł.

W Kujawsko-Pomorskiem znaleźliśmy restauracje oferujące menu za około 300 zł/osobę. W Pałacu Widokowym w Toruniu oferta opiewa na 299 zł/os. Cena może ulec zmianie maksymalnie o 10 proc. Za dzieci do 1 roku nie ma opłat, za dzieci w wieku 1-5 lat płaci się 50 proc. ceny. Tu dodatkowo płatne są: napoje gazowane - 10 zł/250ml, sok w karcie - 19 zł/1 litr, alkohol według zużycia, serwis tortu z zewnętrznej cukierni - 8 zł/osobę (tylko z paragonem lub fakturą), ciasta porcjowane sernik/szarlotka - 19 zł/2 porcje,



Cena „talerzyka” to średnio 180-300 zł za osobę

pólmisek owoców - 10 zł/osobę, wyłożenie słodkiego stołu z cukierni zewnętrznej (tylko monoporcje) - 200 zł.

W Konecku mamy trzy opcje komunijnego menu do wyboru. Stylowe wnętrza, wspaniała kuchnia, profesjonalna obsługa i dużo terenu zielonego wokół sali to tylko niektóre nasze atuty. Do tego dużo terenu zielonego wokół sali uświetnią imprezę. Ceny naszych uroczystości zależą od wyboru menu, przygotowaliśmy dla Państwa trzy opcje cenowe na imprezy okolicznościowe: 220 zł | 250 zł | 280 zł - informuje Lawendowy Dworek.

Są już oferty komunijne na 2027 rok. Dwór Hulanka

pod Bydgoszczą proponuje komunie bez kolacji lub z kolacją. Obie wersje wraz z napojami kosztują 300 zł od osoby. Za dzieci do lat 8 płaci się 150 zł. Za maluszki - bez dodatkowego nakrycia - nie ma opłat. Tu w paczeczce są: owoce, zupa, danie główne 3 porcje, dodatki do mięs 3 porcje / osobę, deser 1 porcja / osobę, wybór ciast 150g / osobę, tort komunijny, napoje ciepłe bez ograniczeń (kawa, herbata), napoje zimne bez ograniczeń (soki owocowe - jabłkowy, pomarańczowy, woda mineralna niegazowana), wystrój stołu: żywe kwiaty, aniołki, świece, białe serwetki i bogaty program animacyjny dla dzieci.

Na ostateczną cenę wpływa m.in. liczba gości, standard lokalu, lokalizacja (duże miasta = drożej) oraz dodatkowe atrakcje.

Organizacja komunii to nie tylko restauracyjny obiad. W skład kosztów wchodzi: ubrania dla dziecka i najbliższych, dekoracje (kwiaty, balony, aranżacja stołów), fotograf / kamerzysta, zaproszenia i podziękowania.

W wielu restauracjach jest oferta wykraczająca poza standardowe menu, np.

- fontanna czekoladowa ze świeżymi owocami (ananas, truskawka, melon, arbuż, winogrono) - 800 zł,
- świeże owoce (melon, arbuż, truskawki, winogrono, ananas) - 250g 10-15 zł / osobę,
- dodatkowe ciasto 15-20 zł / osobę,
- lemoniada rabarbarowo-cytrynowa serwowana bez ograniczeń 5 zł / osobę,
- podtalerze i materiałowe serwetki (różne kolory) 10 zł / komplet.

Coraz więcej rodzin decyduje się na dodatkowe elementy, które podnoszą atrakcyjność przyjęcia. Wśród opcji są: animator dla dzieci, fotobudka, słodki stół, malowanie twarzy, upominki dla gości. ©

REKLAMA

0011516530

K

**ZEZŁOMUJEMY
KAŻDY POJAZD,
NAWET UFO!**

PROSTO I EKOLOGICZNIE

- SKUP AUT
- SPRZEDAŻ CZĘŚCI
- AUTOKASACJA



KAPRAL-CAR

ZADZWOŃ

515 111 111

CO ZYSKACIE W KAPRAL-CAR?

GODZIWĄ GOTÓWKĘ

Tak, nawet jeśli wasz pojazd miał kilka „mniej zaszczytnych” momentów, wciąż ma swoją cenę!

LEGALNE DOKUMENTY

Nie chcesz mieć stresu związanego z formalnościami? Nie ma sprawy! Nasza stacja demontażu zadba o to, abyś mógł pozbyć się swojego auta zgodnie z prawem.

ODBIÓR GRATIS!

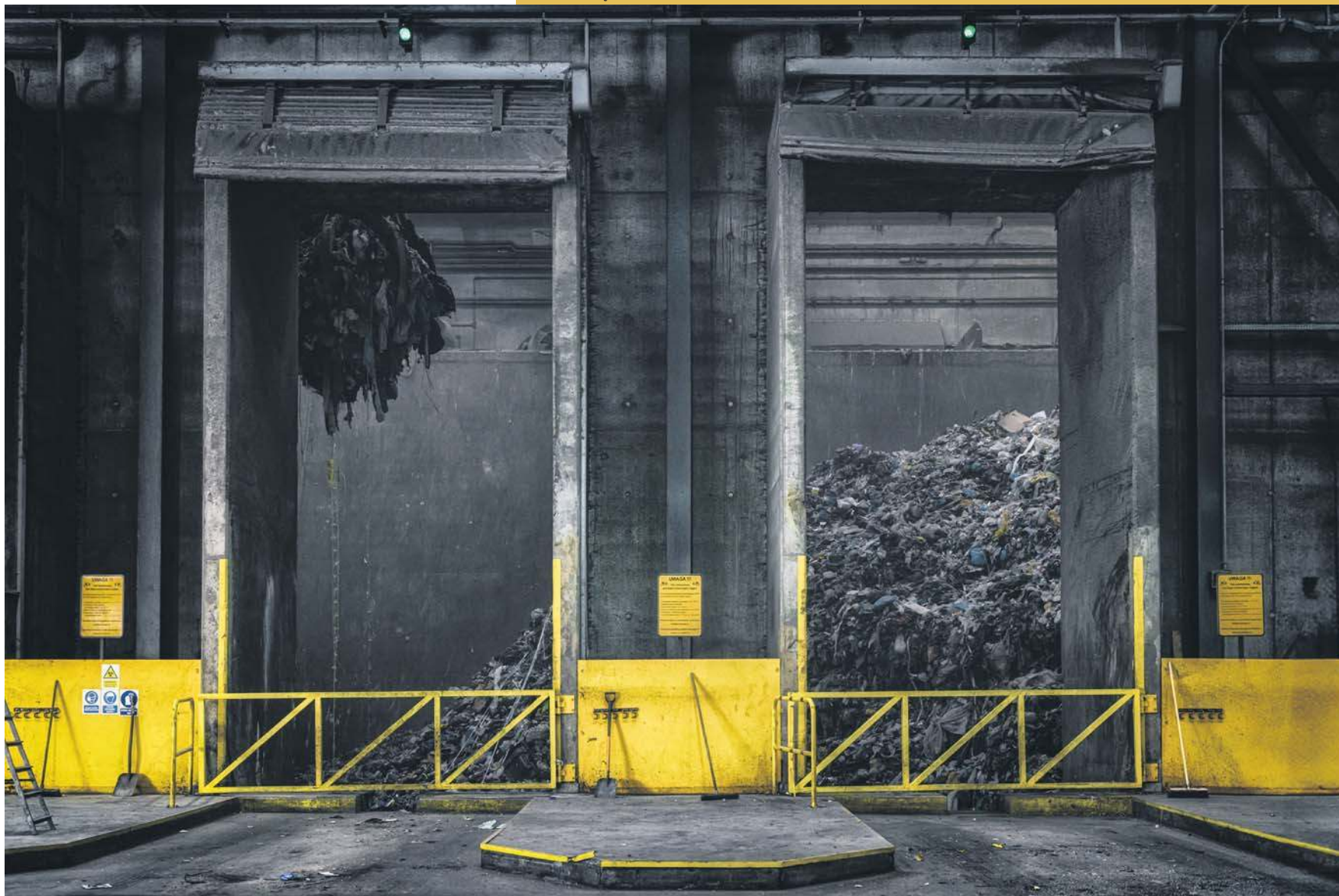
Tak, dobrze przeczytaliście - nie musicie się martwić o transport swojego pojazdu, my zajmiemy się tym **ZA DARMO**.

SZYBKĄ WYCENĘ

Bez zbędnych ceregieli, dostaniecie od nas uczciwą ofertę!

WWW.KAPRAL-CAR.PL

OTO ZDJĘCIE PANA BARTŁOMIEJA SENDERSKIEGO, KTÓRE WYGRAŁO W KONKURSIE PHOTODAY PRONATURA



Zobaczcie NAJLEPSZE ZDJĘCIE z ProNatury!

Poznaliśmy wyniki konkursu zorganizowanego w ramach drugiej edycji ProNatura Photo Day. Zobaczcie zwycięskie zdjęcie wykonane na terenie Zakładu Termicznego Przekształcania Odpadów Komunalnych w Bydgoszczy.

ZA NAMI KOLEJNY PHOTO DAY.

Photo Day to akcja, w ramach której instalacje ProNatury pracujące na rzecz mieszkańców oferują amatorom fotografii niepowtarzalną okazję, by uchwycić na zdjęciach to, co na co dzień może umknąć pracownikom bydgoskiej spółki.

Podczas tej edycji zadaniem uczestników było uchwycenie industrialnego piękna dwóch obiektów - Zakładu Termicznego Przekształcania Odpadów Komunalnych oraz Stacji Segregacji Odpadów.

ZTPOK w Bydgoszczy to instalacja, która wytwarza energię ciepłą i elektryczną ze zmieszanych odpadów komunalnych. Obiekt położony na terenie Bydgoskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego można oglądać z wycieczkami dzięki prowadzonej przez Spółkę edukacji ekologicznej, skierowanej przede wszystkim do placówek oświatowych. Tym razem Zakład otworzył się na gości, których interesowało artystyczne spojrzenie na przemysłowe przestrzenie, a jego wnętrza stały się areną dla fotograficznych zmagowań. W sortowni odpadów również nie brakowało fotograficznych inspiracji - linie sortownicze, taśmociągi i rytmicznie powtarzające się elementy instalacji tworzyły dynamiczne, techniczne kadry.

Uczestnicy ProNatura Photo Day mieli okazję zajrzeć do miejsc, które rzadko można zobaczyć z bliska. Goście zostali podzieleni na dwie grupy, które rozpoczęły zwiedzanie od wizyty w siedzibie przy ul. Petersona 22, skąd zapewniono im transport do sortowni odpadów przy ul. Prądocińskiej 28. Zainteresowaniem amatorów fotografii cieszyła się m.in. hala rozładunku odpadów spalarni z charakterystycznym bunkrem, a także wnętrza obu instalacji z ogromnymi, nowoczesnymi urządzeniami. Nie brakowało też kadrów industrialnych - detali konstrukcyjnych, instalacji rurowych czy gry światła. Wielu fotografujących zatrzymywało się również przy elementach infrastruktury na zewnątrz zakładów, szukając kontrastów i nietypowych perspektyw.

Uczestnicy wrócili do domów z kartami pamięci pełnymi zdjęć, ale nie był to jeszcze koniec ich przygody. ProNatura ogłosiła konkurs, w ramach którego można było zgłaszać fotografie wykonane na terenie spółki. Spośród nadesłanych prac wyłoniono zwycięzcę - komisja konkursowa zadecydowała, że najciekawsze ujęcie, nagrodzone kwotą 2000 złotych, wykonał Bartłomiej Senderski. Ale ciekawych kadrów było oczywiście znacznie więcej!

Ile włożyć do koperty? Giełda stawek budzi kontrowersje

RED

redakcja@polskapress.pl

Sezon komunijny 2026 tuż-tuż, a wraz z nim powraca temat, który wywołuje gorące dyskusje w domach i w internecie. Dotyczą one zawartości kopert wręczanych dzieciom przystępującym do pierwszej komunii.

Przyjęło się, że dziecko przystępujące do pierwszej komunii otrzymuje prezenty.

W epoce PRL-u były to zwykle skromne upominki, najczęściej dewocjonalia, złote i srebrne medaliki, różańce lub elegancko wydana Biblia, co miało stanowić pamiątkę przypominającą to ważne wydarzenie.

Potem prezenty się zmieniły, pojawiła się moda na zegarki i rowery, a z czasem doszły hulajnogi i elektroniczne gadzety: smartwatche, laptopy, tablety, smartfony, konsole.

Co roku pojawia się wiele nowych pomysłów, które mają szansę zostać hitem prezentów pierwszokomunijnych. To m.in. komunijne boxy, czyli personalizowane papierowe pudełeczka, które skrywają w sobie życzenia oraz miejsce na drobny upominek.



FOT. INTERNET

Pieniądze to najprostszy prezent. Ale ile dać?

Coraz więcej dzieci sporządza listę prezentów, które chciałyby otrzymać na komunię. Często jest też organizowana wśród gości zbiórka na jeden droższy prezent.

Czasem trudno jest znaleźć prezent na komunię: niektórzy dzieci mają niemal wszystko, a niekiedy to nam brakuje czasu i pomysłu na poszukiwania upominku.

W takiej sytuacji możemy postawić na najprostszy, ale nie najgorszy prezent: pieniądze.

Ile dać do koperty na I komunię?

Popularnością cieszą się też karty upominkowe, które mają tę zaletę, że dziecko samo wybiera prezent dla siebie.

Podobnie jak zaferowane w kopertach pieniądze, które

wciąż stanowią stały element uroczystości komunijnych. Zmieniają się tylko stawki, które corocznie budzą spory i gorące dyskusje.

W sieci już można znaleźć nieformalne „widełki” na rok 2026, które mają stanowić punkt odniesienia przy ustalaniu zawartości koperty.

Oto one:

- znajomi lub dalsza rodzina - kwoty w przedziale 200-300 złotych,
- ciocie i wujkowie - 500-600 złotych,
- dziadkowie od 700 do 1000 złotych.

Bycie chrześnym, to nie tylko największa odpowiedzialność, ale i wyzwanie na gruncie finansowym. To od rodziców chrześnych oczekuje się zwykle najgrub-

szej koperty... W 2026 roku najczęściej wskazywane są widełki 1500-2000 zł. Za absolutne minimum uznawane jest 1000 zł.

Stawki budzą oburzenie i sprzeciw

Każdorazowo, gdy zbliża się sezon komunijny temat zawartości kopert powraca i budzi duże emocje. U wielu osób windowane rok w rok stawki budzą oburzenie i sprzeciw.

„To komunia, a nie wesele. 500 zł to powinien być absolutny maks” - piszą wprost.

Inni podkreślają, że komunia nie powinna być traktowana jako układ biznesowy, a goście nie powinni czuć się w obowiązku „spłacania” swojego miejsca przy stole.

„Jak kogoś nie stać na przyjęcie w restauracji, to niech zrobi je w domu” - sugerują wprost.

Każdorazowo przy takich okazjach pojawia się także argument, że pierwsza komunia to przede wszystkim wydarzenie religijne i duchowe i fakt, że bliscy towarzyszą dziecku w tym ważnym dla wierzących dniu powinien być ponad materialnymi oczekiwaniem.

©©

W Watykanie na planie filmu o Janie Pawle II

Kamila Pochowska

kamila.pochowska@polskapress.pl

To miał być spokojny, rodzinny wyjazd do Rzymu - prezent na 60. urodziny mojego taty. Zwiedzanie, kawa gdzieś w bocznej uliczce. Nie spodziewałam się, że trafię... na plan filmowy.

W samym sercu Watykanu kręcone są zdjęcia do nowego filmu o Janie Pawle II.

Z początku trudno było zorientować się, co właściwie się dzieje. Sprzęt, kamery, zamieszanie - i nagle on. Postać papieża. W tej roli Andrzej Chyra, ale trzeba przyznać: charakterystyka robi piorunujące wrażenie. Wokół mnie ludzie zatrzymywali się, patrzyli w ciszy, a niektórzy po prostu płakali. Byli też tacy, którzy... przez chwilę naprawdę wierzyli, że widzą prawdziwego papieża. Ta granica między filmem a rzeczywistością zrobiła się zaskakująco cienka.

Produkcja nosi tytuł „Santo Subito!” i reżyseruje ją Bertrand Bonello. Film opowie o tym, co działo się po śmierci papieża w 2005 roku - o procesie prowadzącym do jego kanonizacji

i dochodzeniu dotyczącym jego życia. W głównej roli zobaczymy Marka Ruffalo, który wcielił się w amerykańskiego duchownego pełniącego funkcję tzw. adwokata diabła. W obsadzie są też Charlotte Rampling i Cezary Zak, który zagra kardynała Stanisława Dziwisza.

Zdjęcia powstają nie tylko w Watykanie - część scen będzie realizowana w Polsce, m.in. w Warszawie i Szczawnicy. Premiera planowana jest jeszcze w 2026 roku. A póki co, jeśli ktoś wybiera się do Rzymu, może - zupełnie przypadkiem - znaleźć się w środku tej historii. Tak jak ja. ©©



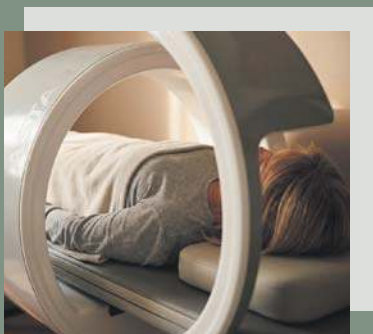
FOT. KAMILA POCHOWSKA

W rolę Jana Pawła II wcielił się Andrzej Chyra

REKLAMA

0011516271

BALNEA
MEDICAL SPA



Balnea Medical SPA, wcześniej Sanatorium Modrzew, to miejsce, w którym tradycja uzdrowiskowa spotyka się z nowoczesną rehabilitacją, a każdy pobyt staje się realną inwestycją w zdrowie i samopoczucie: łączymy doświadczenie zespołu medycznego, diagnostykę oraz naturalne zasoby uzdrowiska, aby pomagać naszym Gościom wracać do formy.

NASZE PROFILE LECZNICZE

- Narządy ruchu i schorzenia reumatyczne
- Choroby dróg oddechowych
- Krążenie i profilaktyka kardiologiczna
- Rehabilitacja pourazowa i pooperacyjna
- Stres, napięcie i zaburzenia snu.

Sanatorium
nowej generacji
w Inowrocławiu

REZERWACJE
POBYTÓW STACJONARNYCH

☎ 52 357 30 84

✉ recepcja@balneamed.pl



☝ ul. Macieja Wierzbńskiego 50A
88-100 Inowrocław

www.balneamed.pl



REKLAMA

0011513891



Bielmo PGZ

Z okazji zbliżających się Świąt Majowych:

Święta Pracy, Dnia Flagi Rzeczypospolitej Polskiej oraz uchwalenia Konstytucji 3 Maja, życzymy, aby pamięć o wspólnej historii umacniała naszą tożsamość narodową oraz dumę z bycia Polakiem.

Mądrze budujmy naszą wspólną przyszłość.

Zarząd i Załoga
Bydgoskich Zakładów Elektromechanicznych
„BELMA”
Spółka Akcyjna

Local content wzmocni polskie firmy

Europejski Kongres Gospodarczy w Katowicach to wydarzenie, podczas którego często zapadają decyzje wpływające na kierunki rozwoju gospodarki. Nie inaczej było podczas tegorocznej edycji, gdzie szeroko zaprezentowano nową rządową inicjatywę „Local content. Z korzyścią dla Polski”.



przekłada się na budowanie kompetencji, które w kolejnych latach pozwalają im świadczyć usługi serwisowe i remontowe.

Na znaczenie systemowego podejścia do projektu zwraca uwagę również Wojciech Balczun. Minister wskazuje, że inicjatywa opiera się na analizie najlepszych praktyk stosowanych w Unii Europejskiej, w tym koncepcji „Buy European”, i jest powiązana z dokumentem „Polityka zakupowa państwa”. W jego ocenie w przetargach kluczowe znaczenie powinna mieć najkorzystniejsza oferta, a nie wyłącznie najniższa cena, która powinna stanowić jedynie jeden z elementów oceny.

Z punktu widzenia PGE inicjatywa „Local content” stanowi narzędzie wzmacniania krajowego łańcucha dostaw oraz budowy długoterminowej wartości dla gospodarki. Spółka traktuje ją jako integralny element realizacji swojej strategii inwestycyjnej i transformacji energetycznej. Włączenie polskich firm w realizację kluczowych projektów ma nie tylko zwiększyć ich udział w rynku, ale także podnieść kompetencje całego sektora i wzmocnić bezpieczeństwo energetyczne kraju.

Jest ona elementem filozofii gospodarczej rządu oraz realizacją priorytetów Ministerstwa Aktywów Państwowych. Jej głównym celem jest zwiększanie udziału krajowych firm w łańcuchach dostaw, zwłaszcza przy inwestycjach realizowanych przez spółki z udziałem Skarbu Państwa. O szczegółach projektu podczas otwarcia stoiska „Local content” mówi Wojciech Balczun.

– Stworzyliśmy ideę, która stanowi element budowy nowego systemu gospodarczego i ekosystemu na kolejne lata. To jeden z priorytetów rządu – podkreśla minister. – Zadaniem tej inicjatywy jest maksymalne wsparcie krajowego komponentu w inwestycjach realizowanych w nadchodzących dekadach – dodawał.

Wspólna agenda spółek Skarbu Państwa

W realizację inicjatywy zaangażowały się największe spółki z udziałem Skarbu Państwa, m.in. KGHM, ORLEN, Tauron, Enea oraz PGE Polska Grupa Energetyczna. Otwarcie wspólnego stoiska podczas kongresu było kolejnym etapem wdrażania projektu „Local content” w Polsce. Jak podkreśla Dariusz Lubera, prezes zarządu PGE, inicjatywa ma charakter długofalowy i została zaprojektowana jako przedsięwzięcie rozpisane na dekady, a nie krótkoterminowe działania. Z perspektywy PGE projekt wpisuje się bezpośrednio w strategię spółki.

– Już w ubiegłym roku zaplanowaliśmy udział polskich przedsiębiorców w realizacji naszych inwestycji w perspektywie 10 lat na poziomie 150 mld zł. Obecnie w obszarze dystrybucji udział krajowych firm przekracza 85% – wyjaśniał Dariusz Lubera.

Transformacja i nowe podejście do inwestycji

Inicjatywa została wypracowana w ramach zespołu powołanego przez MAP, z udziałem przedstawicieli innych resortów oraz instytucji, takich jak Urząd Zamówień Publicznych czy Główny Urząd Statystyczny.

Zakłada ona nie tylko zwiększenie udziału krajowego komponentu w inwestycjach, lecz także jego systematyczne wzmacnianie w największych projektach infrastrukturalnych. W nadchodzącej dekadzie sama polska energetyka może przeznaczyć na inwestycje ponad bilion złotych.

– Polska znajduje się dziś w wyjątkowym momencie swojej historii. Okres transformacji gospodarczej po 1989 roku dobiegł końca. Jesteśmy jedną z największych gospodarek świata i chcemy dalej wzmacniać potencjał krajowych

firm – zaznaczał minister Balczun. Do doświadczeń transformacji nawiązywał również Dariusz Lubera.

– Nigdy wcześniej sektor nie dysponował tak dużymi środkami inwestycyjnymi. Zawsze zależało mi, aby jak największa ich część trafiała do polskich firm – podkreślał.

Local content a przyszłość polskiej energetyki

Strategia PGE do 2035 roku zakłada nakłady inwestycyjne rzędu 235 mld zł, z czego około 150 mld zł ma trafić do krajowych przedsiębiorstw. Udział lokalnego komponentu różni się jednak w zależności od projektu. W przypadku morskiej farmy wiatrowej Baltica 2 planowany poziom wynosi 25–30%.

– W tym roku ogłosimy około 40 postępowań związanych z projektem Baltica 2. Pomagają w tym zmiany w prawie

zamówień publicznych, które sprzyjają uwzględnianiu szerszych kryteriów niż tylko cena – zaznacza Dariusz Lubera.

Znaczenie inicjatywy „Local content” wykracza poza sam etap realizacji inwestycji. Jak podkreśla prezes PGE Dariusz Lubera, udział polskich firm w projektach





Artur Szczepański

POGŁOSKI SPECJALNEJ TROSKI BEZ ZBĘDNEGO STRESA - AUTOGRAF DLA BEDOESA!

Jeszcze wiosna nie powiedziała swojego pierwszego słowa, bo gdy siadam do swojego felietonu, temperatura spadła w Bydgoszczy nocą poniżej zera, a przecież już na chodnikach pojawiły się szalejące hulajnogi. Złowrogi szum ich elektrycznych silników zapowiada krwawe jatki w najbardziej uczęszczanych przez przechodniów miejscach.

Jako bumer, indagowany przez Czytelników, chciałem jedynie przypomnieć, iż już w ubiegłym roku apelowałem do dzielniejszej części strażni-

ków miejskich, by wzięli pod uwagę, iż sezon polowania na pierzchających pieszych właśnie się rozpoczął; na razie, co prawda, od drobnych potyczek i niegroźnych utarczek słownych, ale nie mam wątpliwości, iż to dopiero złego niebezpieczne początki. Jako umiarkowanie szczęśliwy posiadacz samochodu elektrycznego sam wiem, jak moje auto, wręcz bezszelestnie, potrafi zaskoczyć spieszonych bydgoszczan. Nawet polubiłem to zaskoczenie pieszych, bardziej niż poszukiwanie wydajnej ładowarki.



Bedoesa 2115 na Open'erze 1 lipca w 2023 roku

Dajmy jednak spokój elektrycznemu lewackiemu terroryzmowi, bo mijający tydzień zaczął się jak film Hitchcocka, czyli od trzęsienia ziemi, a potem... napięcie już tylko rosło.

Na początek dwie krótkie informacje, jedna dobra, a druga nie najlepsza. Zaczę od tej dobrej - Polsce przyznano organizację mistrzostw Europy w Lekkiej atletyce w 2028 roku. Będą to ciekawe mistrzostwa, bo odbędą się prawie dokładnie miesiąc przed Igrzyskami Olimpijskimi w Los Angeles. I zagdam się, jeśli o to idzie, z prezesem PZLA Sebastianem Chmarą, by-

łym wiceprezydentem naszego miasta, jakby kto nie pamiętał. Dla mnie, niestety, mistrzowska impreza odbędzie się na Stadionie Śląskim, a nie, jak chciałbym, w Bydgoszczy - i to ta druga, jak wspominałem, nie najlepsza wiadomość. Do tego tematu zapewne jeszcze wrócę... W jakimś tam stopniu mogą sobie te wieści wynagrodzić zbliżającym się Memoriałem Ireny Szewińskiej, który na naszym stadionie, a jakże, się odbędzie i to już 29 maja. Gorąco polecam, ale o tym też jeszcze zdarzy mi się zapewne napisać, o ile nie zostaną śmier-

Express Bydgoski
Czwartek-niedziela, 30.04-3.05.2026

telnie ugodzony przez hulajnogę.

Ale o czym tu ja, skoro cała Polskę rozpałała do empatycznej czerwoności akcja Diss na Raka w wykonaniu już dziś wielkiej orkiestry Cancer Fighters i pod zdecydowaną rapersko-hiphopową dyрекcją Bedoesa i Łatwoganga.

Wiem, wiem, dużo w tym bardzo niezrozumiałych słów, ale spójrzmy na efekt, bo transmitowana na żywo z kawalerki Piotra Łatwoganga zbiórka na pomoc dzieciom chorym na nowotwór przyniosła - i tu uwaga, uwaga - 282 miliony złotych (dane ze środy)! Jak nic będzie 300 milionów...

Tu chciałbym przypomnieć, że jest to absolutny rekord świata - jak mówią normalisi (nawet ci z PiS-u) - oraz szczytowe osiągnięcie odnotowane w księdze Guinnessa-Srinesa jak powiedziałyby, nie przymierzając, Przemysław Czarnek.

Wynik bardziej niespodziewany niż często wspomniane przeze mnie w tym miejscu nadejście hiszpańskiej inkwizycji. Patriotyzm lokalny (nieco przyśzywany - z racji mojego poznańskiego pochodzenia) każe mi napisać o jednym z głównych aktorów (choć to może najmniej stosowne wobec hip-hopowca określenie), czyli Borysie Przybylskim. Bedoesie naszym, i tu już się poprawiam nomenklaturowo, ziomalu, bo

to chłopak z Bartodziejów. Fajnie być dziś Bydgoszczaninem, zwłaszcza w takich bedoesowych sytuacjach i konstatacjach.

Przez całe lata, na pewno długo, byłem członkiem kapituły Bydgoskich Autografów. Zawsze z dumą, choć nie zawsze z zadowoleniem z postanowień szanownego gremium, i choć teraz mój głos nie waży tyle, co wówczas, to nie wyobrażam sobie, nawet kosztem disowania (dyskredytowania), (jestem w stanie to unieść) ulicy Długiej bez autografu dla Bedoesa. Stąd też proszę już dziś kapitułę o potraktowanie mojej propozycji jako oficjalne i obywatelskie zgłoszenie.

W całej akcji „Diss na Raka” najbardziej zaskakująca była reakcja, błyskawiczne badania wskazywały na to, że płynący z niewielkiej kawalerki sygnał przekonał ponad 90 procent Polaków wbrew plemiennemu podzieleniu. Nie martwi mnie nawet fakt, że niewielka część donatorów kierowała się chęcią dokuczenia Jerzemu Owsiakowi; tak się zbiera kasę - gromko grzmiała część prawy. Tak czy owak możemy być lepsi niż nam się wydaje, a nawet najlepsi... na świecie. To już coś przed zbliżającym się długim weekendem i tego się trzymajmy w temperaturach wybuchowej wiosny, bo na takie się zanosi. ©



Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

POLSCY WYNALAZCY W RZECZPOSPOLITEJ SZLACHECKIEJ

W moich felietonach zabiegam o to, by dzieła polskich techników (a zwłaszcza wynalazców!) były bardziej doceniane i szerzej popularyzowane. W tym kontekście pozwalam sobie sięgać czasem dość daleko w głąb naszej historii, żeby wydobywać z niej nie tylko dzieje wspaniałych władców, ale także wspomnienia o naszych pierwszych inżynierach, których aktywność została jakoś zapamiętana (jako wyjątek od reguły), bo zwykle z wynalazków korzystano, ale nazwiska twórcy nigdzie nie rejestrowano.

Najpierw chciałbym wspomnieć o jednej mało znanej publikacji, która dotyczyła wynalazków i wynalazców, która była

wydana w Polsce w formie książki w 1608 roku.

Uświadommy sobie, co oznaczała ta data: na Wawelu dzierżył wtedy królewską władzę Zygmunt III Waza. A tymczasem na głuchej litewskiej prowincji, we wsi Mohilna, prosty (ale wykształcony!) szlachcic, Jan Protasowicz, napisał pierwszą encyklopedię w języku polskim.

Encyklopedia ta była pisana wierszem (trzynastozgłoskowcem, jak „Pan Tadeusz”), i była głównie poświęcona... wynalazcom. Wyraża to tytuł książki: „Inventores rerum, albo krótkie opisanie, kto co wynalazł i do używania ludziom podał”. Protasowicz wspomina o „inventorach” w 147 hasłach swej

encyklopedii, wymieniając nazwiska 180 wynalazców i opisując 174 wynalazki.

Zawartość merytoryczna tego dzieła była oparta w znacznym stopniu na wcześniejszym dziele zatytułowanym „De inventoribus rerum” („O wynalazcach”) Polydora Vergilio, które było wydane w Wenecji w 1499 roku. Zwracam uwagę, że dzieło się w epoce Europy rycerskiej, średniowiecznej (przecież to jest to samo stulecie, w którym miała miejsce bitwa pod Grunwaldem!).

Drukowane książki dotyczyły wtedy głównie spraw religijnych, a tymczasem włoski uczone napisał obszerne dzieło poświęcone wynalazcom, które zostało wydane - podobnie jak encyklopedia Protasowicza.

W cytowanych książkach nie znajdzie się niestety ani jednego nazwiska polskiego wynalazcy, więc muszę tu dodać coś z moich własnych notatek. Otóż pierwszym polskim uczonym, którego dzieła dotyczące obszaru dzisiejszej techniki zostały zapisane w oficjalnych dokumentach, był Stanisław Grzepek. Wiemy o nim, że wywodził się z drobnej szlachty, był urodzony w 1524 roku w Grzepsku koło Mławy i od 1538 roku studiował w Akademii Krakowskiej (dziś jest to Uniwersytet Jagielloński). Nie od razu zajął się zagadnieniami technicznymi, gdyż najpierw interesowała go humanistyka, studiował grekę,

przyjaźnił się z Janem Kochanowskim i trochę podróżował - do Wrocławia, do Królewca, do Koźminka w Wielkopolsce - więc stopień bakałarza uzyskał dopiero w 1557 roku, a tytuł magistra w 1563 roku. Naukowo zajmował się komentowaniem dzieł starożytnych autorów greckich, dostrzegał jednak także potrzeby praktyki i w 1565 roku zaczął zajmować się dziedziną techniki znaną obecnie pod nazwą geodezji. Stanisław Grzepek zajmował się rozmiernianiem ziemi i rozstrzyganiem sporów sąsiedzkich i po latach takich doświadczeń w 1566 roku wydał w Krakowie księgę zatytułowaną „Geometria to jest miernicka nauka”. Pełny tytuł książki był o wiele dłuższy i wypełniał w całości powierzchnię okładki, ale zdecydowałem się nie przytaczać go w całości, bo trudno się go czyta (choć jest po polsku). Tytuł ten zapowiadał, że za pomocą opisanych w książce metod geometrycznych można wymierzać rozmiary łąk, pól i ogrodów (uwzględniając obie używane wtedy miary powierzchni, to znaczy lany lub włóki), wyznaczać wysokość różnych obiektów, a także dowiadywać się, jak odległy jest określony obiekt (autor pisze o zamku) także w przypadku, gdy po drodze są przeszkody wodne lub błota.

To była pierwsza książka na temat techniki wydana w Polsce!

ZDJĘCIE TYGODNIA



W Wielkim Korowodzie Królewskim (w ramach obchodów 680. urodzin Bydgoszczy) wzięło udział blisko 600 dzieci z przedszkolnych Klubików Młodego Przyjaciela Bydgoszczy i wczesnoszkolnych Klubików Młodego Przyjaciela Bydgoszczy oraz dzieci i młodzież ze szkolnych kół TMMB

#214
PULS



Dobra sieć.

Latwogang to pseudonim Piotra Garkowskiego, jednego z najpopularniejszych polskich influencerów młodego pokolenia. - Dużo mediów pisze, że mam na imię Patryk i jestem z Radomia, a mam na imię Piotrek i jestem z Warszawy. Ale mnie to w ogóle nie przeszkadza, może nawet i lepiej. Bo im bardziej jestem ukryty, tym łatwiej pokazać, że wszyscy razem zbieramy pieniądze dla dzieciaków - powiedział Łatwogang podczas transmisji ze zbiórki dla podopiecznych Fundacji Cancer Fighters.

Kariera Łatwoganga rozpoczęła się na TikToku, gdzie w 2021 roku opublikował pierwsze materiały pod chwytliwym pseudonimem. Z czasem zaczął się udzielać również na YouTube. Jego znakiem rozpoznawczym stało się hasło „Łatwo!” wypowiedziane po wykonaniu jakiegoś zadania - challenge'u lub triku. Dużą wagę przykładają do budowania zasięgów poprzez interakcję z widzami.

Jednym z pierwszych wyzwań był pomysł, by słowo „gilbert” zaistniało wśród 10 nominowanych do Młodzieżowego Słowa Roku 2022. Według Łatwoganga „gilbert” miał być synonimem geniusza. Pomysł się spodobał - internauci masowo wpisywali to słowo w formularzu zgłoszeniowym PWN i cel osiągnęli. Ostatecznie wygrała „essa” - okrzyk radości po tym, jak coś nam się udało.

Influencerowi nie brakowało fantazji. W 2024 r. przejechał na rowerze trasę z Polski do Maroka. Był to efekt obietnicy, którą złożył swoim obserwatorom. Zakład polegał na tym, żeby zdjęcie jego stopy stało się najbardziej lajkowaną fotografią na polskim Instagramie. Zdobyło ponad 1,2 miliona polubień.

Popularność twórcy wzrosła także dzięki współpracy z piosenkarzem Edem Sheeranem. Przy okazji koncertów we Wrocławiu w 2025 r. Brytyjczyk na zaproszenie Łatwoganga przejechał na trójkołowym tandemie po Placu Solnym. W trakcie przejażdżki influencer postawił kolejne wyzwanie odbiorcom. Jeśli tiktokowy filmik zbierze milion polubień, powstanie wspólny kawałek z Sheeranem - po polsku. Tym razem również internauci nie zawiedli Łatwoganga. W październiku 2025 premierę miała polska wersja hitu Sheerana „Azizam”.

17 kwietnia Łatwogang, uruchomił na platformie YouTube nieprzerwany stream pt. „Słucham 9 dni dissu na raka, żeby pomóc dzieciom z Fundacji Cancer Fighters”. Punktem wyjścia była piosenka „Ciągłe tutaj jestem (diss na raka)” - utwór rapera Bedoesa 2115 nagrany wspólnie z 11-letnią Mają Mecan, podopieczną fundacji, która zмага się już z trzecią wznową nowotworu. Tym razem ostra białaczka szpikowa zaatakowała jej narządy wewnętrzne, w tym płuca.

Bedoes 2115 to znany bydgoski raper (naprawdę nazywa się Borys Piotr Przybylski, rocznik 1998) i założyciel zespołu 2115. Znany jest z przebojów takich jak „05:05” oraz multiplatynowych albumów. Zyskał miano „głosu pokolenia Z”.

Bedoes od dawna angażuje się w różne akcje społeczne, m.in. pomaga młodzieży zmagającej się z problemami psychicznymi, od lat angażuje się w różne kampanie społeczne.

Pretekstem do zbiórki Łatwoganga na rzecz fundacji Cancer Fighters był opublikowany 14 kwietnia utwór „Ciągłe tutaj jestem (diss na raka)” Bedoesa 2115 oraz podopiecznej fundacji Mai Mecan, chorującej na nowotwór. Diss, czyli charakterystyczny dla muzyki rap utwor oparty na słownym ataku, tym razem został skierowany przeciwko rakowi. Artysta zapowiedział, że cały dochód z utworu zostanie przeznaczony na Fundację Cancer Fighters, która od 2015 r. pomaga osobom chorym na raka. Oprócz pomocy materialnej fundacja zapewnia także pomoc medyczną, psychologiczną oraz motywujące wydarzenia dla dzieci, młodzieży i dorosłych.

A 11-letnia Maja Mecan z Oławy to isierka, która rozpalila akcję Łatwoganga i całą Polskę. Maja ma 11 lat, same piątki i szóstki oraz... trzecią wznowę nowotworu. Ze swojego okna w bloku widzi szkołę, do której chce wrócić. Na razie codziennie jeździ na chemioterapię. Wieczorami robi bransoletki z koralików, które dała wszystkim nauczycielom, którzy przychodzą do niej do domu na lekcje. Polska

Łatwogang, Maja i Bedoes 2115. To oni byli bohaterami streamu

Jazda rowerem do Maroka, nagranie piosenki z Edem Sheeranem - z takimi wyzwaniami może się kojarzyć kariera Łatwoganga w sieci. Za sprawą akcji okrzyknięto go „internetowym Jurkiem Owsiakem”

Anna Ciastoń, Michał Perzanożewski, Paweł Relikowski



A 11-letnia Maja Mecan z Oławy to isierka, która rozpalila akcję Łatwoganga i całą Polskę. Tutaj ze swoją mamą



Łatwogang to pseudonim Piotra Garkowskiego, zaś Bedoes 2115 to znany bydgoski raper (naprawdę nazywa się Borys Piotr Przybylski)

poznała ją przez internet za sprawą rapera Bedoesa i twórcy internetowego Łatwoganga.

W rogu ekranu streamu przez całe 9 dni mogliśmy oglądać jedną z głównych bohaterek teledysku Bedoesa Maję Mecan, 11-latkę, chodzącą do 5 klasy Szkoły Podstawowej nr 8 w Oławie. Maja walczy z rakiem po raz trzeci, ale nie może się już doczekać, by wrócić do swoich rówieśników. Kiedy pojawiła się trzecia wznowa, trzeba było znów zacząć walczyć. Dziś dziewczynka niemal codziennie jeździ z mamą na chemioterapię i rehabilitację. Wraca do domu późnym popołudniem.

Mama Mai nie kryje wzruszenia, gdy opowiada nam, jak w ogóle powstał utwór, który poruszył całą Polskę.

- Wszystko zaczęło się od tego, że pani Aleksandra Kopyś, znana z TikToka Ciocia Ola, zaproponowała Majeczce, czy zechciałaby zaśpiewać piosenkę. Ona napisała zwrotkę, którą śpiewa Maja i tak się zaczęło. Potem z inicjatywą wyszedł Borys (raper Bedoes - red.), że dogra kawałek do Majeczki, co ją jeszcze bardziej zmobilizowało i ucieszyło, że będzie mogła nagrać utwór z kimś znanym - opowiada nam mama Mai Katarzyna Mecan.

Jak słyszemy, Maja bardzo się ekscytowała, bo było to dla niej coś nowego, co wywołało w niej ogromną energię i radość, że ktoś chciał przyjechać i poświęcić dla niej czas.

Kiedy Łatwogang uruchomił swojego streama, rodzina Mai śledziła go od samego początku. Codziennie, kiedy tylko mogła.

- Oglądałyśmy razem z mężem i podziwialiśmy. Wszyscy zresztą podziwiali, co tam się po prostu dzieje, bo to jest coś niemożliwego - przyznaje mama.

Maja oglądała transmisję ze świadomością, co zbiórka oznacza dla niej i innych dzieci. Szczególnie jeden element ją poruszył.

- Ja jej pokazywałam zwłaszcza te momenty, kiedy ludzie golili włosy. Majeczka bardzo to przeżyła, pozytywnie. Jest świadoma tego, co się dzieje i taka wdzięczna, że ludzie potrafią się tak zjednoczyć i robić tyle dobrego - mówi nam pani Katarzyna, dla której cała akcja ma jednak wymiar, który wykracza daleko poza samą zbiórkę. - Chciałam, żeby te dzieci wiedziały, że może się udać, że trzeba walczyć, że nie można się poddawać. Mam nadzieję, że wszystkie dzieciaczki, które walczą z nowotworami, na podstawie tej piosenki będą tę walkę miały tak jak ona. Bo tego my, jako rodzice, chyba najbardziej chcemy.

Bedoes do dziś jest z Mają w kontakcie. Pisze jej, że jest z niej dumny.

- Borys jest bardzo fajnym człowiekiem - mówi krótko mama. I więcej nie trzeba.

Tok nauczania Mai był przez lata dopasowywany do jej stanu zdrowia. Przez długie okresy nauka odbywała się w szpitalu lub w domu. Kiedy Maja mogła wrócić do szkoły, szkoła wysłała jej na przeciw - dosłownie.

- Był przygotowany specjalny gabinet, w którym cała klasa miała zajęcia, żeby Maja nie musiała z plecakiem chodzić po naszej dużej szkole. Wszyscy nauczyciele przychodzili do tego gabinetu. Trwało to, niestety, dość krótko, bo potem nastąpiła wznowa - wspomina Wioletta Frischmann, wychowawczyni Mai.

Dziś nauczanie znów odbywa się w domu. Nauczyciele regularnie odwiedzają Maję. Każdemu z nich wręczyła już własnoręcznie wykonaną bransoletkę z koralików.

- Ubieram ją na wyjątkowe okazje - dodaje Wioletta Frischmann.

Maja jest też świetną uczennicą. Jak słyszemy, ma same piątki i szóstki. Klasy zdaje z czerwonym paskiem. - Majeczka to bardzo miła, sympatyczna dziewczynka. Ona ma w sobie takie naturalne ciepło, naturalną dobroć. Kojarzę ją właśnie z takim ciepłem... i z pięknym uśmiechem - opowiada nam Wioletta Frischmann, wychowawczyni Mai.

Dwie koleżanki z klasy regularnie do niej jeżdżą. Robiły to, kiedy leżała w szpitalu, robią to nadal.

- Czekamy, kiedy wróci do nas i będzie z nami cały czas już na stałe - przyznaje wychowawczyni.

To miała być zwykła internetowa zbiórka. Raper Bedoes 2115 i 11-letnia Maja Mecan, podopieczna fundacji Cancer Fighters, nagrali poruszający utwór „Diss na raka”. Kawałek zainspirował youtubera Łatwoganga do uruchomienia największego charytatywnego streamu ostatnich lat. Piotr Garkowski, bo o nim mowa, postanowił przez dziewięć dni słuchać „Diss na raka” i zbierać w tym czasie pieniądze dla dzieci chorych onkologicznie.

Pewnie do głowy mu nie przyszło, że jego akcją zauważą nie tylko polskie, ale i zagraniczne media.

Reuters pisze o „maratonie charytatywnym z małego mieszkania w Warszawie”, dziennikarze „The Independent” w artykule „Dziewięciodniowy stream polskiego influencera bije rekordy, zbierając ponad 50 mln funtów dla dzieci chorych na raka”, wyliczając, że uzbierana suma - 250 mln zł (52 mln funtów) - ponad trzykrotnie przebiła poprzedni rekord Guinnessa, ustanowiony we Francji w 2025 roku. Brytyjski „The Guardian” zwraca uwagę na fakt, że akcja zaczęła się niepozornie, w warszawskiej kawalerce, a z czasem włączyły się w nią światowe gwiazdy sportu i muzyki. Zagraniczni komentatorzy nie mają wątpliwości: to, co wydarzyło się w polskim internecie w kwietniu 2026 roku, przejdzie do historii.

Ale też w ciągu tych dziewięciu dni przez małą kawalerkę Łatwoganga na warszawskiej Pradze przewinęły się tropy. Byli celebryci, artyści, muzycy, piosenkarze, sportowcy, dziennikarze, influencerzy, raperzy. Nie tylko wpłacali pieniądze. Katarzyna Nosowska obiecała, że zgoli głowę, jeśli licznik pokaże 55 mln zł. Gdy tak się stało, za maszynkę chwyciła aktorka Agata Kulesza. Edyta Pazura, Maffashion, Blanka Lipińska i streamerka Kasix też dały się ogolić. To wszystko w ramach solidarności z chorymi na raka.

W trakcie streamu pogodziło się dwóch zwaśnionych przez 17 lat raperów - Tede i Peja. Także Marcin Gortat i Mateusz Ponitka symbolicznie podali sobie dłonie. Ponitka zapowiedział, że jeśli zbiórka do końca dnia, a to był czwartek, osiągnie 9,2 miliona złotych, to w piątek zadzwoni do Gortata, z którym nie rozmawiał od wielu, wielu lat. I tak się właśnie stało. Panowie „zakopali wojenny topór”.

W piątek z Łatwogangiem połączył się Robert Lewandowski. Razem z żoną przekazali milion złotych na zbiórkę.

Na streamie zagościł Chris Martin z zespołu Coldplay, zachęcił do wsparcia zbiórki. Kilukrotnie łamaną polszczyzną zaśpiewał słowo „śrubujemy”.

Maciej Musiał, nawiązując do zeszłorocznej aukcji na WOŚP, na której wystawił sprzątaninę w rytm muzyki utworu „Explosion” Kalwi i Remi, chwycił za odkurzacz i zaczął sprzątać mieszkanie Łatwoganga.

Były wspólne występy, goście uczcili urodziny zmarłego niespełna rok temu Stanisława Sojki, śpiewając jeden z jego hitów, spontaniczne pełne emocji rozmowy, łzy, dopingowanie i zachęcanie do kolejnych wpłat.

Małgorzata Kożuchowska wpadła w kartony ustawione w kawalerce Łatwoganga przy progu 163 mln zł. Stwierdziła przy tym: „Warto było czekać 15 lat, żeby to powtórzyć”, a powtarzała słynną scenę wypadku i śmierci Hanki Mostowiak, którą grała w serialu „Jak Miłość”. U Piotra Garkowskiego pojawili się: Borys Szyc, Monika Olejnik, Michał Pol, Wojciech Szczęsny.

Wpłaty zaczęły spływać lawinowo, do akcji włączyli się zwykli ludzie, firmy, znane marki. W ciągu tych dziewięciu dni ekipa Łatwoganga zebrała prawie 250 milionów złotych, ale pieniędzy wciąż przybywa. Szok!

Nie stała za nimi żadna instytucja, nie było sponsorów, wielkiej polityki, tradycyjnych mediów. Ot, zwyczajny „chłopak z internetu”, popularny, ale nie wśród szerokiej masy Polaków, poruszył ludzkie serca.

- Mobilizacja kryzysowa jest naszą narodową specjalnością - mówił w rozmowie z Onetem psycholog społeczny Konrad Maj. Podobnie było w 2022 roku, kiedy ponad 70 proc. Polaków angażowało się w pomoc Ukrainie. Zdaniem Konrada Maja, działa tu mechanizm, który w Polsce jest wyjątkowo silny: nieufność połączona z potrzebą potwierdzenia społecznego. - My na ogół nie ufamy i żeby zaufać, potrzebny jest efekt skali. Dlatego tak dobrze działają akcje masowe, widoczne, głośne, z ogromną liczbą uczestników. WOŚP jest tu modelowym przykładem - im większa widoczność, tym większa gotowość do włączenia się - wyjaśnił psycholog. I tłumaczył, że udział w takich akcjach jak WOŚP czy stream Łatwoganga, zaspokaja kilka kluczowych potrzeb psychologicznych. - To jest uczestnictwo w zbiorowym rytuale. Czujemy się częścią wspólnoty, która coś dokłada. Do tego dochodzi poczucie sprawstwa: widzimy licznik, widzimy efekt, mamy dowód, że nasz gest ma sens. Pomaganie komuś jest w istocie pomaganiem sobie. Wpływa na poczucie szczęścia - dodał, przywołując badania korelacyjne z USA, które pokazują, że darczyńcy i wolontariusze deklarują wyższy poziom dobrostanu.

To także sposób na symboliczne „wyzerowanie licznika”. Mamy poczucie, że pomimo błędów jesteśmy dobrymi ludźmi.

Konrad Maj podkreślił w rozmowie z Onetem, że podczas tej dziewięciodniowej akcji pojawił się pozytywny konformizm, efekt śnieżnej kuli. Wszyscy zaczęli się nawzajem nakręcać. Znane osoby dzwoniły do innych znanych osób.

Stream Łatwoganga pokazał, że bez wsparcia mediów, sponsorów, polityki można robić wielkie rzeczy. Liczy się autentyczność

Dorota Kowalska



- Reagujemy na sytuację, kiedy widzimy, że bez nas może się nie udać. To przeciwieństwo WOŚP, gdzie wielu myśli: „i tak zbiorą”. Tutaj, przeciwnie, początkowy cel 500 tys. zł wydawał się wręcz nieosiągalny. Było poczucie, że każda wpłata naprawdę może zdecydować o powodzeniu akcji - mówi.

„Barometr Humanitarny 2026” pokazuje, że aż 85 proc. Polaków w ciągu ostatniego roku zaangażowało się w co najmniej jedną formę pomocy innym, a większość badanych uważa wspieranie potrzebujących za ważny element życia społecznego. Maleje liczba osób przekonanych, iż pomoc powinna trafiać wyłącznie do rodaków, co świadczy o rosnącej otwartości na wsparcie osób spoza Polski.

- Niezmiernie dużo osób na pierwszym miejscu stawia dzieci. Jest to grupa, której powinniśmy pomagać w pierwszej kolejności - tłumaczyła Draginja Nadażdin ze stowarzyszenia Lekarze Bez Granic. I dodała, że ważnym pytaniem było to dotyczące migrantów, a jest ono zadawane w każdym roku. - W 2025 roku odsetek osób gotowych wesprzeć finansowo uchodźców i migrantów był najniższy. Natomiast w tym roku jest nieco lepiej. Wniosek, który z tego płynie, jest taki, że przez ostatnie 12 miesięcy było o wiele mniej agresywnych wypowiedzi, w tym także polityków, skierowanych do tych grup - mówiła.

Najczęściej wybieranymi obszarami wsparcia są zdrowie i leczenie oraz pomoc dla osób z krajów dotkniętych klęskami żywiołowymi.

Dlaczego pomagamy? Z potrzeby dzielenia się z innymi, którą deklaruje 56 proc. respondentów. Niewiele mniej, bo 50 proc., wierzy, że „dobro wraca”.

Istotną rolę odgrywa także wychowanie - wskazywane przez 37 proc. badanych - co pokazuje, że postawy pomocowe są zakorzenione nie tylko w emocji, ale również w strukturze norm społecznych.

Polacy pomagają, są pod tym względem w czołówce Europy.

Ale akcja Łatwoganga zwraca uwagę na jeszcze dwie rzeczy: przede wszystkim siłę internetu. Zbiórka odbyła się z dala od tradycyjnych mediów, które z czasem zaczęły o niej pisać, nagłaśniać ją, ale pomysł zrodził się w sieci. To tu młodzi prowadzą życie towarzyskie, dowiadują się tego, co na świecie. Niepotrzebne im do tego radio, telewizja, nie mówiąc o gazetach.

I kolejna sprawa: największy charytatywny stream ostatnich lat połączył pokolenia. Pozwolił temu starszemu przyjść do kawalerki tego młodszego, albo przynajmniej spojrzeć przez dziurkę od klucza, co się w niej dzieje. Zobaczyć inny świat i, być może, zmienić o nim zdanie.

„Myślę, że wszyscy, którzy korzystają z wiadomości medialnych, śledzą fenomen Łatwogang. To jest zjawisko, które ma wymiar większy niż sama zbiórka, chociaż oczywiście od ratowania życia nie ma nic ważniejszego. (...) Podjęłam ten wysiłek i sama rejestrując się na TikToku, obejrzałam filmiki, jakie Łatwogang nagrywał zyskując miliony obserwujących. No więc dawniej na zjawisko TikToka łapałam się za głowę. Rodzinne nastolatki pokazywały mi to czasem. To są jakieś niewyobrażalnie głupie filmiki, a im głupsze, tym więcej pieniędzy generują. Zjawisko z cyklu świat zwariował. Na Łatwoganga nigdy się nie natknęłam, ale pewnie też wruszyłabym ramionami, chociaż on przynajmniej za cenę ilości obserwujących robił rzeczy pomysłowe, odjazdowe, albo naprawdę trudne, jak na przykład przejazd rowerem z Polski do Afryki. Ma jeszcze tę zaletę, że jest naturalny i inteligentny, ale bez zadęcia. Tak czy inaczej wruszyłabym ramionami. I nagle... taka historia. Chłopak staje się Centrum pomocy. (...)” - pisze na Facebooku Joanna Szczepkowska.

Młodzi influencerzy, którzy pojawili się w kawalerce Łatwoganga, wcale nie kryli, że nie znali wszystkich, zwłaszcza z tego starszego pokolenia, którzy do nich dołączyli. - Kiedy pomagamy, wiek nie ma znaczenia. Byliśmy w tym wszyscy razem - mówili potem goście Łatwoganga. Ale podobnie działo się w polskich domach. Wnukowie pokazywali na telefonach charytatywny stream Garkowskiego swoim dziadkom i prosili o wpłatę pieniędzy. Ci wpłacali, a przy okazji dowiadywali się, co to stream i TikTok.

„Dzięki tej transmisji można uświadomić sobie, że kiedy ludzie się zjednoczą, mogą wiele osiągnąć” - napisał potem portal gazety „The Times of India”.

Zbiórka pieniędzy wciąż trwa, chociaż kawalerka Piotra Garkowskiego opustoszała. Ten musiał się wypaść, a potem w niej posprzątać.

Po akcji w mediach społecznościowych pojawiło się wspólne oświadczenie rapera Bedoesa i Łatwoganga, sprawców całego zamieszania.

„W pierwszej kolejności - dziękujemy za wszystko, co zrobiliście. Nie przyjmujemy gratulacji ani podziękowań. To jest wspólne dzieło nas wszystkich i to my gratulujemy Wam tego, co zrobiliście dla dzieciaków i jak poruszyliście cały kraj” - napisali. I dalej: „Jeżeli chodzi o wywiady, telewizję, media - nasz komentarz jest absolutnie zbędny. Przez te 9 dni powiedzieliśmy wystarczająco. Media, którym zależy, prosimy o nagłaśnianie zbiórki i świadomości o tym, że RAK TO NIE WYROK. Bo tylko na tym nam zależy”.

Panowie nie chcą orderów. Najważniejsze w tym wszystkim są przecież chore dzieci.

MRÓWKOWCE NA WSCHÓD OD SAINT LOUIS

Mikromiasto, Bydgoszcz w pigułce. Mrówkowce na Bartodziejach mają niezwykłą historię. Na tę opowieść składają się losy mieszkańców, ale swoją wersję ma też do opowiedzenia architektura

Maciej Czerniak

Porzućcie wszelką nadzieję, ci którzy tu wchodzić - tę opowieść można zacząć słowami z Dantego. Można też mówić o piekle z betonu, choć sam autor „Boskiej Komedii” o takim kręgu infernalnym nie wspomina. Można też o slumsach, co wbrew pozorom bywało w tym przypadku określeniem przeszłości. Tylko, czy byłaby w tym prawda?

Taki wstęp do tej historii byłby może efektowny, ale... już mniejsza o to, że w złym guście. Dantego brak, a Wergiliusz występuje tu w dwóch osobach. Moimi przewodnikami po labiryntach i zakamarkach bydgoskich superjednostek, czyli mrówkowców na Bartodziejach w Bydgoszczy, są Katarzyna i Andrzej. Spędzili tu dzieciństwo i mimo, że na pewnym etapie życia wyprowadzili się z galeriowca, wciąż do niego wracają. Nie tylko wspomnieniami.

- O, tu był telefon! Na parterze, demokratycznie dostępny dla wszystkich - Katarzyna Dembińska wchodzi do klatki schodowej i dotyka ściany po lewej stronie. - Tu się wisiła na słuchawce! - z uśmiechem przybiera nieco teatralną pozę nastolatki blokującej linię innym mieszkańcom.

Kilka lat temu wróciła do swojego rodzinnego mieszkania w galeriowcu przy Skłodowskiej-Curie 25, w którym mieszkała od 1973 roku. Był czas, kiedy przeprowadziła się na Jachcice. Jesteśmy teraz w bliźniaczej (do „dwudziestki piątki”) jednostce, z numerem 56. To ta ładniej położona, bo nad Balatonem, czyli jeziorkiem powstałym w dawnym wyrobisku gliny.

- A klub lokatorski był? - pytam.

- Nie, ale twórcy tych bloków mieli ideę, by były w pewien sposób samowystarczalne - mówi Andrzej Stachera, który lata temu wyprowadził się stąd do centrum miasta. Czasu spędzonego w mrówkowcu, dzie-



Moimi przewodnikami po labiryntach i zakamarkach bydgoskich superjednostek, czyli mrówkowców na Bartodziejach w Bydgoszczy, są Katarzyna i Andrzej

ciństwa, lat nastoletnich nie da się jednak wymazać z pamięci. Dlatego jest tu i rozmawiamy.

Z Marsylii do Bydgoszczy

Budowa pierwszego kolosa, tego właśnie nad glinianką, rozpoczęła się w 1968 roku. Zaprojektowano go w biurze autorskim „Miestoprojekt”. Zespołem architektów kierował pochodzący z Sosnowca Andrzej Modrzejowski, członek Stowarzyszenia Architektów Polskich, współprojektant (ze Zdzisławem Kostrzewą) zespołu obiektów Instytutu Elektroniki i Telekomunikacji Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy.

Bydgoska superjednostka powstała przy współpracy konstruktorzy Teresy Trzeszczkowskiej. Budynek ma 197 m długości, 10,9 m szerokości, 34,7 m wysokości przy powierzchni zabudowy 2475 m kwadratowych i 27219 m powierzchni ogólnej. Mieszczą się w niej 44 mieszkania M2, 216 M3, 154 M4 i 44 mieszkania M5. Tego olbrzymia zaprojektowano, by

pomieścić 1570 mieszkańców. W informatorze o „Mrówkowcu”, bo to oficjalna nazwa budynku, zaznaczono: „standard wyższy”.

Możliwe, że ten gigant nie powstałby, gdyby nie to, co wydarzyło się nieco ponad dekadę wcześniej w Marsylii. W tej opowieści trzeba jednak cofnąć się w czasie jeszcze bardziej.

- Jednym z najważniejszych postulatów modernizmu w architekturze, zawartych w „Karcie Ateńskiej” z 1933 roku, było zapewnienie ludziom tanich i bezpiecznych dla zdrowia mieszkań, ale pomysły na modernistyczne bloki zaczęły się pojawiać już na wystawie w Stuttgarcie w 1924 roku - opowiada dr Iwona Jastrzębska-Puzowska, historyczka sztuki, wykładowczyni, kuratorka wystaw, autorka publikacji, związana z Politechniką Bydgoską, wcześniej też z Muzeum Leona Wyczółkowskiego, obecnie nauczycielka historii sztuki w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Bydgoszczy. - Le Corbusier, ojciec tego nurtu architektonicznego, uważał, że postulat

ten spełnią budynki rozumiane jako „maszyny do mieszkania”.

Koronną realizacją tej koncepcji była „Unité d’habitation”, ogromna jednostka mieszkaniowa, zwana jednostką marsylską, dla 1600 mieszkańców, zbudowana w latach 1946-52.

- Mieszkający w tym „małym miasteczku” mieli do dyspozycji sklepy, usługi, gastronomię, sale gimnastyczne i basen. Idee Le Corbusiera, po „epizodzie socrealistycznym” przełomu lat 40. i 50., na nowo odżyły w polskiej architekturze w latach 60., także w formie wielkich, wysokich budynków mieszkaniowych zwanych popularnie „mrówkowcami” - mówi Jastrzębska-Puzowska.

„W realiach PRL-u jednak nie przyjęły się wspólne przestrzenie handlowo-usługowe, bo w obliczu ogromnego zapotrzebowania na własne „M”, szkoda było marnować powierzchnie na inne, niż mieszkalne, cele” - czytamy w opracowaniu historyczki sztuki, cytowanym przez „Bydgoszcz Okruchy Przeszłości”, a pocho-

dzącym z Pracowni Dziedzictwa Kulturowego Kujawsko-Pomorskiego Centrum Kultury.

Warto podkreślić, że są w Polsce superjednostki bardziej znane, jak choćby w Katowicach, we Wrocławiu, czy też słynny gdański falowiec. Wyjątkowość tej bydgoskiej polega m.in. na tym, że te dwa budynki zaprojektowano jako monumentalną bramę do nowego (wtedy, na przełomie lat 60 i 70) bydgoskiego osiedla, czyli Bartodziejów.

„Córciu, gdzie ty się wyprowadziła?”

- Tu był koniec świata, a przynajmniej koniec Bydgoszczy. Od dzisiejszej ul. Gajowej rozciągały się różne ogrodnictwa, sady, dalej już tylko pola uprawne. Rosła pszenica - mówi Andrzej Stachera. - Jak się tu wprowadziłem, to moja babcia do mojej mamy mówiła: „Boże, córciu, gdzie ty się wyprowadziła”. Bartodzieje były głębokimi peryferiami. Te bloki były granicą budowy Bartodziejów do 1971, 1972 roku. Dopiero potem ruszyła cała rozbudowa osiedla.

I znowu podobieństwa do eksperymentu marsylskiego. Tam również kolos powstał na nowym, pustym terenie. W zamyśle tamtejszy olbrzym miał zapewniać mieszkańcom wszelkie wygody - dostępność usług, miejsca rozrywki i inne. - Okazało się jednak, że ludzie woleli dalej chodzić w te stare uliczki Marsylii, gdzie było bardziej klimatycznie, przytulnie, znajomo niż właśnie korzystać ze wszystkiego, co mieli na miejscu - mówi Jastrzębska-Puzowska.

Może więc bydgoski projekt okazał się większym sukcesem? Teza, choć odważna, chyba prawdziwa. Mrówkowce na Bartodziejach były dosłownie obudowane miejscami służącymi mieszkańcom.

- O tu, gdzie teraz wzniesiono nowy apartamentowiec, były przedszkole i żłobek, a tam, po drugiej stronie,

przy Gajowej była nasza słynna „Agora”, dom kultury - słyszę od moich rozmówców.

- Przy postoju taksówek, w pawilonie mieściła się klubokawiarnia „Stokrotka”. Później, w latach 80. to był klub „Royal” - mówi Katarzyna.

Stoimy w cieniu giganta numer 56. Na długości kilkudziesięciu metrów ciągną się charakterystyczne galerie. To długie balkony, z których wchodzi się prosto do mieszkań. Na galerie wychodzą łufki niewielkich kuchni. Na pierwszej kondygnacji trzydziści parę lat temu galerię podzielono. Wydzielono w ten sposób ogródki, z których wchodzi się do parterowych mieszkań.

Ten widok jest mi dobrze znany. Jako Bydgoszczanin na Bartodziejach, a szczególnie w tym zakątku, bywałem często, teraz jednak uderza coś, z czego nie zdawałem sobie wcześniej sprawy. To przecież surrealistyczne: ogrom betonowego gmachu z wpisanymi w niego, kameralnymi fragmentami, namiastkami intymności? I do tego jeszcze widok z nad ogródków na otoczone kwietniową zielenią jezioro w centrum miasta.

- Balaton wylewał regularnie, kiedy nie było jeszcze melioracji do Brdy. Rozlewał się aż na drugą stronę Skłodowskiej-Curie - wspomina Andrzej. - Dzieciaki zimą miały ślizgawkę.

A latem?

- Prawdziwa riwiera! - mówi Katarzyna. Na fotografii z lat 70. w informatorze Spółdzielni Mieszkaniowej „Zjednoczeni” widać tłum plażowiczów.

- Były dwa kąpieliska. Brodzik dla dzieci i drugie, duże dla dorosłych - tłumaczy Andrzej. - Trudno w to uwierzyć, ale tak to wyglądało.

- Często siedzieliśmy na plaży, o tam - Katarzyna wskazuje na brzeg po południowej stronie. - Pamiętam, biegaliśmy z bratem między ludźmi opalającymi się, leżącymi na kocach, szukając naszych rodziców. Fantastycznie było.

Sielankowo, ale nie obyło się bez poważnych incydentów. Do dzisiaj pamięta się tu o kilku utonięciach. - To musiało być krótko po zakończeniu budowy. Budowlańcy wcześniej nie posprzątały wszystkich sprzętów, niektóre elementy konstrukcyjne wrzucili wprost do glinianki - mówi Andrzej. - A potem chłopaki szaleli tu w wodzie, jeden skoczył i nadział się na pręt zbrojeniowy. Były też problemy z czystością wody.

- Mój kolega stracił nogę, kiedy zranił się w wodzie i wdało się zakażenie gronkowcem - przypomina sobie Katarzyna.

Amerykanki, Mądralewo i osmiorniczki

- 1570 lokatorów?! Może w planach - zwraca uwagę inny mieszkaniec, pan Zdzisław.

- Były mieszkania, gdzie na 38 metrach gnieździło się 8 osób - mówi Katarzyna. - Mój kolega tak mieszkał. Bywałam u niego, mieli łóżka piętrowe, ale nie narzekali.

Wychodzi na to, że w jednym mrówkowcu mogło mieszkać nawet 2,5 tysiąca ludzi. Kiedy przemnożyć to przez dwa, wychodzi, że kompleks galeriowców to tak naprawdę miasto w mieście. Dało się tyłu upchnąć. Kuchnie w niektórych lokalach mają zaledwie szerokość metr osiemdziesiąt.

- Tu mieszkali naprawdę różni ludzie. Od tych na poziomie, nauczycieli, urzędników, lekarzy po takie prawdziwe niziny społeczne - mówi Andrzej. - Teraz to się trochę zmieniło, ale niewiele. Wciąż jest pełen przekrój społeczny. Z tym, że większa rotacja, więcej mieszkań jest wynajmowanych, mieszka tu też dużo Ukraińców. W klatce, gdzie mieściło się mieszkanie mojego taty, obecnie jest już tylko jeden sąsiad z tych pierwszych. Wszystkich dawnych lokatorów w bloku może być najwyżej pięćdziesięciu.

Kazimierz Wierzbicki pamięta pierwsze lata mrówkowców: - W początkach kariery zawodowej, w 1977 r. pracowałam na kolei, na zmiany. Mieszkałam tu jako kawaler, wynajmowałam pokój. Fajnie było latem. Po spać w domu? Brałam sobie koc na dół i się leżało. Był spokój. To nie te czasy, co teraz. Sympatycznie. Plaża, kąpielisko. Ten Balatonik pozostał w serduchu.

Daleko się nie wyprowadził. Mieszka w wieżowcu przy Żmudzkiej, nieopodal. Śmieje się, że w tamtych czasach najego obecne miniosiedle mówiono „Mądralewo”, bo to teren spółdzielni nauczycielskiej.

W „56” nad glinianką są mieszkania-muzea. Niektórzy mają meble te same od początku, od kiedy się wprowadzili. To widać, kiedy przychodzą nowi właściciele. Ruszają z remontami, a przed blokiem pojawiają się wystawki z me-

blościankami na wysoki połysk, nieraz trafi się „Kopernik”, bywają stoliki, amerykańki, półkotapczany.

Henry Moore mija Balaton, zatrzymuje się, zagaja. Starszy pan jakby nigdy nic, wtrąca, że właśnie chciał wypuścić do jeziora osmiorniczki.

- Co? Jak to? Przeżyją? Słodkowane? A to przypadkiem nie gatunek inwazyjny? - pytam półzartem. Starszy pan ewidentnie żartuje.

Mówi, że przez 40 lat mieszkał w Kanadzie, z kilkuletnią przerwą na Florydę. Był kucharzem na statkach żeglugi śródlądowej. - Wróciłem na stare śmieci. Trudno w to uwierzyć, ale doszedłem do wniosku, że tam, w Toronto, koszty życia, jeśli by zbilansować je z zarobkami, wcale nie wyglądają dobrze. W sumie, jakby wszystko zważyć na szali, to tu żyje się lepiej - mówi Moore, dawniej Henryk Morawski.

Mieszkał przy Niagara Falls, ale wrócił nad bydgoski Balaton.

- No to niech pan pokaże te osmiorniczki.

Otwiera reklamówkę, wyjmując kartonik z kunsztownie wykonanymi bursztynowymi zwierzętami. - Ładne, co? Pani doktor w przychodni niosę w podzięce za leczenie. Myśli pan, że się nie obrazi?

Pod jednym dachem

Pan Henry idzie w swoją stronę, a my wchodzimy do tego potwora. Plan budynku nie wydaje się skomplikowany. Rama z płyt żelbetowych, prawie dwustumetrowe korytarze przez całą długość budynku. Jest ciemno, nieco klaustrofobicznie. W klatce schodowej winda. Ciasna, stoimy ramieniem przy ramieniu. Jakbyśmy jechali w górę gardzieli tej maszyny do mieszkania. Ale humory dopisują. Moi rozmówcy czują się tu jak u siebie. Znają każdy zakamarek. Wychodzimy na galerię. Dostęp do niej otwiera nam pani Iwona Tadych, mieszkanka. Daje się namówić na wspólne zdjęcie. W dole Balaton, roztacza się panorama Bartodziejów. Ładnie. Może to zapłata za te ciasne kłitki?

Te minimalistyczne metraże to echo gomulkiowskiego normatywu lokalowego z 1959 r. Władza chciała zapewnić ludziom mieszkania, choćby do mieszkań było im daleko. Ciemne kuchnie, wielkości schowków na miotły.

- Oj, nie! - oburza się Andrzej. - To nie tu. Tu nie ma ślepych kuchni. Nawet te od strony galerii mają małe okienka. Tu w ogóle, jak się wprowadzaliśmy, to miejsce uchodziło za wyższy standard. Ludzie się szczylicili tym, że mieszkają w nowym mrówkowcu. Oczywiście, z biegiem lat perspektywa się zmieniała.

- Każdy nowy blok powstający na osiedlu już miał lepsze rozwiązania architektoniczne



O terenach nad Balatonem jego dawni mieszkańcy mówią: to była prawdziwa riwiera



Jeśli riwiera, to i jachty. Nawet jeśli tylko papierowe. Dzieci nad Balatonem chwilę przed „regatami” stateczków



Przy ulicy Gajowej, a przed mrówkowcem nr 56 powstał w latach 70. Dom Kultury „Agora” prowadzony przez Spółdzielnię Mieszkaniową „Zjednoczeni”



Nowoczesna szkołka żeglarska nad Balatonem powstała w 2008 r. Wcześniej były tu kąpieliska i nie brakowało amatorów sportów wodnych

- przyznaje Katarzyna. Kiedy powstawały bloki przy Bałtyckiej, Koszalińskiej, Kołobrzskiej, to już tamci mieszkańcy uważali się za lepszych. Pamiętam z lat szkolnych, że był w klasie taki podział na lepszych i gorszych. My, oczywiście byliśmy tymi gorszymi.

- Nawet się mówiło, wslusnie mieszkam - wzrusza ramionami Andrzej. - Nie przykładaliśmy wagi do tej nazwy. Po prostu. Prawda jest taka, że to ogromne skupisko ludzi w jednym miejscu. Tak naprawdę przecież tysiące ludzi żyją pod jednym dachem. Jak na to patrzeć z perspektywy tych wszystkich lat, to jest zaskakujące.

Nie było legend. - Nie będę ściemniał, wymyślał - przyznaje Andrzej. - Zastanawiam się, dlaczego. Pewnie dlatego, że to po prostu były nowe bloki, wtedy za dzieciaka, nie było tu dla nas żadnych tajemnic. Nie było opowieści o duchach.

Papierosy na patio i RTL z satelity

Blok o numerze 25 był za to jednym wielkim placem zabaw.

- Ganiałiśmy się tymi korytarzami - stoimy na „patio”. Co to „patio”? Półpiętro na klatce schodowej w szczytowej części bloku. Andrzej wyjaśnia: - Najlepsza miejscówka. Smak pierwszych papierosów, rozmowy, grandzenie przez całe dni, kiedy na dworze było za zimno.

W latach 80. w tych miejscach spotkań było głośno, gwarno. Pewnie też była muzyka. Joy Division, Depeche Mode, Republika? Pewnie. - Przeganialiśmy nas stąd, non stop. Wiadomo, ten hałas niósł się wszędzie korytarzami. Ktoś się głośniejszym zaśmiał i już łomot z tego niesamowity - słyszę.

- Była taka gra: Biec na 10. piętrze na wyścigi korytarzem do schodów, potem na 9. i dalej, cały korytarz, tylko w drugą stronę. I tak cały blok. Robiliśmy zawody, kto będzie pierwszy, ten, co zbiega po schodach, czy zjeżdżający windą. Jak ktoś nie zdążył, to był łapany przez takiego o to osobnika - Katarzyna wskazuje na Andrzeja.

Bloki miały gwarancję na 30 lat, 20 lat temu wzmacniano wsporniki zewnętrznych galerii. Znow są popękane. - Blok niestety osiada. Jak długo jeszcze wytrzyma? Chyba nikt tego nie wie - mówi Andrzej.

- Kiedyś były zsypy. Nie trzeba było wychodzić z budynku, żeby śmieci wyrzucić. Za to można było spotkać szczura wielkości kota. W końcu te zsypy zlikwidowano, niektórzy zagospodarowali te miejsca na schowki, kantorki.

- Inne kantorki istniały już od samego początku, na 11. piętrze - zauważa Andrzej. - Ludzie tam sobie porobili jakieś pracownie, gabineczki, maga-

zyny. Zresztą tu w lokalach na parterze przy wejściach do klatek działały i działają nadal jakieś interesiki, małe biznesy.

W bloku 56 przez wiele lat był sklepik spożywczy. Charakterystyczny, bo roztaczający woń sera typu brie na całą okolicę. Teraz jest tam psi fryzjer. W 25 działa kosmetyczka.

- OK, legend nie było, ale wiele też się tu działo przez lata. Było kilka zabójstw, parę gwałtów. Głośne sprawy - przypomina sobie Andrzej. - Mimo tego ludzie żyli jakoś zgodniej, czuło się jakąś wspólnotę.

- I te wizyty u sąsiadów, którzy mieli telewizor - wtrąca Katarzyna.

- Właśnie, tam na dachu na „56” widać jeszcze stare anteny satelitarne. W latach 90. mieszkańcy mieli rozproszony sygnał „na wyłączność”. Był RTL, SAT1 i inne stacje...

Na 7. piętrze mieszkał przez jakiś czas znany bydgoski fotograf Jerzy Riegel. W tym samym budynku Marek Jeleniewski, późniejszy rzecznik wojewódzkiej policji, obecnie historyk. Mieszkał też działacz „Solidarności” Roman Kotzbach.

Andrzej: - Pamiętam dość głośną historię ze stanu wojennego, kiedy go zatrzymano. Tym faktycznie długo żyliśmy.

Za symboliczny koniec modernizmu uważa się wyburzenie osiedla mrówkowców Pruitt-Igoe w Saint Louis w 1972 roku. - Stworzyło się tam getto, wzrastała przestępczość, więc władze podjęły decyzję o zrównaniu z ziemią całego kompleksu - mówi Iwona Jastrzębska-Puzowska.

Zresztą w mrówkowcach na Bartodziejach milicja też miała problemy ze ściganiem podejrzanych. - Te korytarze były długie, można było swobodnie przemieszczać się między klatkami schodowymi. Dopiero po wielu latach zostały przedzielone, powstały osobne segmenty - słyszę.

Można powiedzieć, że kiedy modernizm z hukiem kończył się w USA, do galeriowców na Bartodziejach wprowadzali się pierwsi lokatorzy.

Stoimy na tym półpiętrze i to już chyba koniec tej odysei po mrówkowcu. Słońce niedługo zajdzie, już powoli złoci dachy osiedla. Rozmawiamy o dawnych czasach. Jeśli to odyseja, to bardziej w wyobraźni i bardziej to przypomina tułaczkę bohaterów „Małej Apokalipsy” Konwickiego. Tylko że tam końcowa scena rozgrywa się na szczycie Pałacu Kultury i Nauki. No i moi rozmówcy nie są duchami.

- To co, ścigamy się? Kto pierwszy, ja schodami, czy wy windą? - rzuca Katarzyna.

Wyzwanie podejmujemy. Winda była tylko nieco szybsza. ©©

FOT. KAZIMIERZ KOZŁOWICZ

FOT. KAZIMIERZ KOZŁOWICZ

FOT. KAZIMIERZ KOZŁOWICZ

FOT. KAZIMIERZ KOZŁOWICZ

DZIECKO WYPADA Z OKNA. JAK SĄD ROZLICZA RODZICÓW?

Tragedią na bydgoskim Szwederowie żyje cały kraj. 4-letni Szymek spadł z balkonu i zmarł. Co czeka teraz jego rodziców? Jaki finał mają podobne dramaty przed sądem? Całkowite uniewinnienia, także w przypadkach pozostawienia małego dziecka samego w domu, zdarzają się

Małgorzata Oberlan

Opinia publiczna zawsze emocjonalnie reaguje na takie wydarzenia. I jest podzielona w osądach. „Gdzie wtedy byli rodzice?!” i „Małego dziecka nie zostawia się samego nawet na minutę” - grzmiają jedni. „Dajcie spokój rodzicom, będą żyli z poczuciem winy do końca życia” i „Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nigdy na chwilę dziecka z oczu nie stracił” - mówią drudzy.

Każdy taki dramat zobowiązana jest zbadać prokuratura. Śledztwa zazwyczaj prowadzi w kierunku narażenia życia i zdrowia dziecka oraz nieumyślnego spowodowania śmierci, obrażeń ciała (jeśli do tego dojdzie). Nie zawsze postępowania te kończą się stawianiem zarzutów i kierowaniem do sądów aktów oskarżenia. Jednak jeśli tak się już stanie, to i w sądach sprawy miewają różny finał. Całkowite uniewinnienia, także w przypadkach pozostawienia małego dziecka samego w domu, także się zdarzają.

Bydgoszcz. 4-letni Szymon nie żyje. Co z matką i jej partnerem?

To niedawna, tragiczna sprawa. Dramat wydarzył się na bydgoskim Szwederowie w bloku przy ul. Chołonewskiego, 20 kwietnia, kilkanaście minut po godzinie 17.

4-letni Szymon spadł z balkonu, z wysokości piątego piętra, na taras znajdujący się na pierwszej kondygnacji. Chłopiec został szybko przetransportowany przez zespół ratownictwa medycznego do szpitala. Walka lekarzy o życie malca trwała kilka godzin. Niestety, nie udało się go uratować.

Wstępne ustalenia są takie, że dziecko, co do zasady, nie



Dzieci wypadają z okien w Polsce każdego roku - taka jest smutna prawda. Niektóre przypadki kończą się w miarę szczęśliwie. Inne tragicznie - śmiercią lub trwałym kalectwem dziecka/zdjęcie ilustracyjne

przebywało samo w domu. Według informacji przekazywanych przez prokuraturę i policję, w momencie zdarzenia mama chłopca (ciężarna) była przed klatką schodową bloku. Jej partner natomiast, który opiekował się Szymkiem, zszedł na dół, żeby jej pomóc wnieść zakupy do mieszkania. Wtedy doszło do dramatu.

Prokuratura Rejonowa Bydgoszcz-Południe wszczęła śledztwo w kierunku nieumyślnego spowodowania śmierci dziecka. Wstępnie wykluczając winę opiekunów - z takim przekazem spotkali się dziennikarze. Najpierw przesłuchano opiekuna chłopca, potem - mamę Szymona, która też po tragedii trafiła okresowo do szpitala.

Z matką dziecka przeprowadzono czynności, znany już jej relację - przekazał naszemu reporterowi prok. Dominik Mrozowski, zastępca szefa Prokuratury Rejonowej Bydgoszcz-Południe. - Nikomu nie postawiono zarzutów. Nie stwierdzono, by w tej

sprawie doszło do czynu o charakterze kryminalnym.

Wiadomo, że mająca 25 lat matka i jej 26-letni partner byli trzeźwi. Tego samego dnia wcześniej mieli być na wspólnym spacerze z dzieckiem, m.in. w pobliskim centrum handlowym. Kobieta jest w siódmym miesiącu ciąży.

W tej sprawie zatem, przynajmniej na razie, sporo wskazuje na to, że opiekunowie nigdy nie staną przed sądem oskarżeni przez prokuraturę. Doszło do nieszczęśliwego wypadku - taki przekaz jak dotąd płynie ze strony śledczych.

Toruń. 4-letni Oluś przeżył. Jego matkę najpierw skazano, potem uniewinniono

Tą sprawą z Torunia też żyła cała Polska. W 2019 r. 4-letni wówczas Oluś wypadł z 11. piętra wieżowca przy ul. Konstytucji 3 Maja w Toruniu i przeżył. Jego matkę jednak sąd w pierwszej instancji skazał za narażenie życia dziecka, bo zostawiła dziecko samo w domu. Potem

jednak, po apelacji, została całkowicie uniewinniona.

- Cieszymy się i odczuwamy satysfakcję z uniewinniającego wyroku, który wydał Sąd Okręgowy w Toruniu. Od początku jako obrońca pani Ewy podkreślałam absurd całego oskarżenia. Skutki tamtego zdarzenia dla mojej klientki były wystarczająco traumatyczne. Dziś najważniejszym jest to, że pani Ewa jest prawomocnie uniewinniona, a Oluś nie tylko fizycznie, ale i psychicznie jest w formie. Bardzo dobrze się uczy, świetnie funkcjonuje w grupie - mówił nam adwokat Dariusz Kłós, obrońca matki w listopadzie 2023 r. (wtedy był finał sprawy).

A co się dokładnie wydarzyło i co spotkało panią Ewę z Torunia? 19 września 2019 r. 4-letni wówczas Oluś wypadł z 11. piętra wieżowca. Przeżył m.in. dlatego, że upadek zamortyzowały krzaki i trawa. Potem prawdziwy bój o jego życie i zdrowie stoczyli lekarze ze szpitala dziecięcego. Chłopczyk był kilkakrotnie operowany,

później utrzymywany w stanie śpiączki farmakologicznej. Do sprawności przywrócili go ortopedzi, a następnie rehabilitanci. Mnóstwo ludzi wpłacało pieniądze na zbiórkę ogłoszoną przez rodzinę na ten cel. „Oluś, mały wojownik” - tak o nim mówiono. Dziś wiadomo, że wrócił do sprawności fizycznej i psychicznej.

Dramat rodziny trwał jednak dalej, bo w grudniu 2019 r. prokuratura oskarżyła matkę o niemyślne narażenie życia i zdrowia dziecka (art. 160 par. 2 i 3 kk). Dlaczego? Bo zostawiła go samego w domu i zjechała na parking spotkać się ze znajomym. Wtedy Oluś wskrabił się na okno i wypadł.

Śledczy ustalili, że kobieta zostawiła chłopca samego w mieszkaniu na około 20 minut. Na parkingu przed wieżowcem spotkała się ze znajomym, rozmawiała z nim, zapaliła papierosa. W tym czasie Oluś przez okno wzywał matkę, ojca. Potem wypadł...

Prokuratura dotarła do świadków, którzy z dołu widzieli chłopca stojącego w oknie i słyszeli jego krzyki. Najpierw wołał „Mamo, mamo!!!”, potem „Tato!”. Wykonali też eksperyment procesowy. Nie uwierzyli w pierwsze zeznania kobiety, która twierdziła, że nie było jej w domu dosłownie kilka minut.

Matka oskarżona została z art. 160 par. 2 i 3 Kodeksu karnego. To przestępstwo nieumyślnego narażenia życia na niebezpieczeństwo osoby, którą powinno się opiekować. Wyrok w II Wydziale Karnym Sądu Rejonowego w Toruniu ogłoszono w październiku 2021 r. Matkę uznano za winną i skazano na 8 miesięcy ograniczenia wolności w postaci prac społecznych.

Prokuratura ten wyrok uznała za słuszny. Absolutnie nie pogodziła się z nim jednak pani Ewa i jej obrońca. Wnieśli apelację. Tę w 2023 r. rozstrzygnął Sąd Okręgowy w Toruniu. I całkowicie uniewinnił kobietę.

Sąd Okręgowy uznał, że zachowanie matki nie wypełniło znamion zarzucanego jej przestępstwa. A dokładniej, że w sprawie zabrakło owej „bezpłodności” narażenia życia dziecka. Dlaczego? Bo - owsem - kobieta zostawiła synka w mieszkaniu samego, ale wyszła na krótko. Okno zostawiła zamknięte, nie stały pod nim sprzęty umożliwiający dziecku wejście na parapet (Oluś sam przysunął sobie stołek). Wcześniej natomiast chłopiec nigdy tak ryzykownie się nie zachowywał.

- Zapoznaliśmy się dokładnie z pisemnym uzasadnieniem wyroku, o które poprosiliśmy. Uznał, że nie ma tutaj podstaw do wnoszenia o kasację - tak podsumowała wtedy sytuację ówczesna prokurator rejonowa Izabela Oliver.

I na tym, od strony karnej, po kilku latach cała bolesna sprawa się ostatecznie zakończyła.

Warszawa. Konrad i Damian zginęli na miejscu. Matce wyrok zawieszono

Najpierw skazana przez sąd pierwszej instancji na bezwzględne więzienie, a potem łagodniej potraktowana została natomiast pani Izabela - matka z Warszawy. To historia sprzed lat, ale wielu mieszkańców warszawskiego Bródna pamięta ją do dziś. Trudno bowiem zapomnieć o dwóch małych chłopkach, którzy razem wypadają z okna i giną...

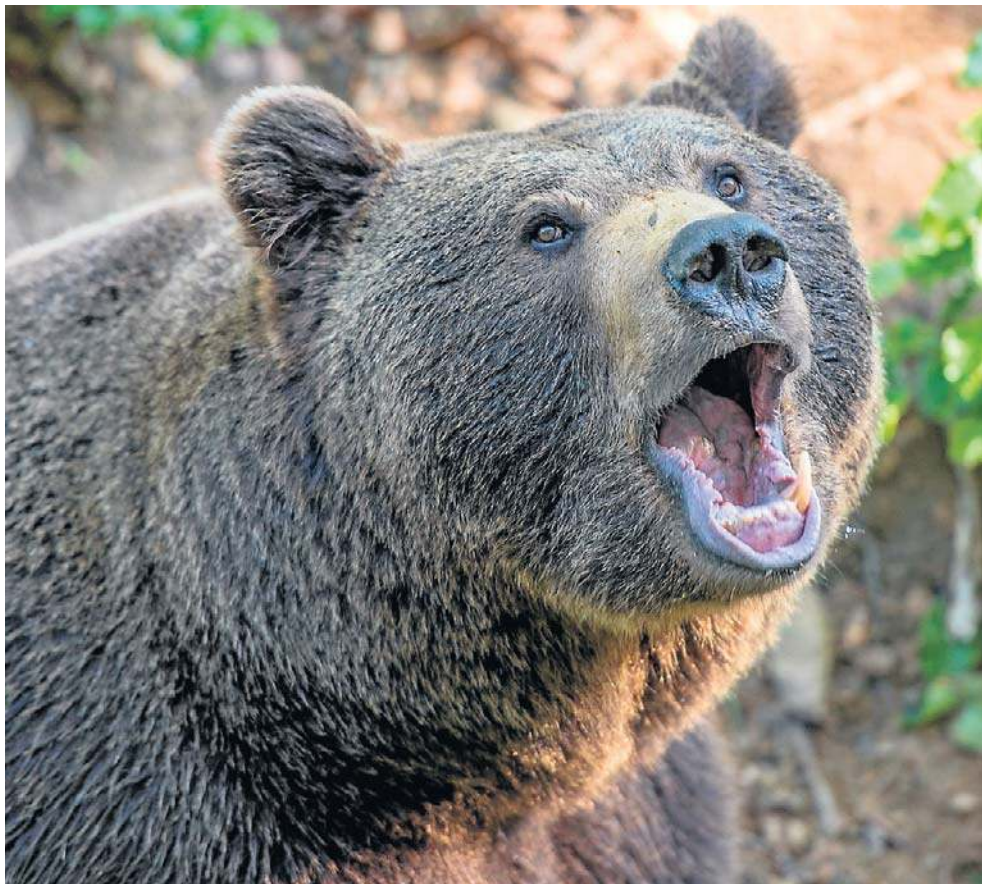
Trzyletni Konrad i dwuletni Damian w 2006 r. wypadli z okna na ósmym piętrze bloku na tym stołecznym osiedlu. Dzieci zginęły na miejscu. Matka chłopców była wtedy w sąsiednim pokoju w przyjacielu Adamem K., który - również oskarżony w tej sprawie - został uniewinniony już w pierwszej instancji. Ojciec biologiczny dzieci przebywał wtedy w więzieniu.

Młoda matka, pani Izabela, wcześniej była już skazana za zostawienie chłopców bez opieki i narażenie ich na śmierć lub ciężki uszczerbek na zdrowiu (jak zauważyli sąsiedzi, chłopcy wychylali się z balkonu). I to miało znaczenie dla sądu pierwszej instancji.

Obrona od początku w tej sprawie wносиła o uniewinnienie, argumentując, że matka nie odpowiada za tragedię. Zdając sobie sprawę z ruchliwości synów, wprowadziła zasadę, że po wietrzeniu i zamknięciu okna wyjmując się z niego kłamek. Według obrony nie wiadomo, kto krytycznego dnia pozostawił niedomknięte okno. Pani Izabela z pracy wróciła w nocy, gdy dzieci, pozostawione z opiekunką, już spały, a kłameki nie zbadano daktyloskopijnie, więc nie wiadomo, kto ostatni jej dotykał.

Sąd rejonowy w październiku 2008 r. skazał Izabelę B. za narażenia dzieci na niebezpieczeństwo przez brak właściwej opieki na 2 lata bezwzględnego więzienia. Po roku jednak - po apelacji - sąd okręgowy dał kobiecie szansę. Wyrok zmienił, orzekając karę w zawieszonym na 5 lat próby - najdłuższy możliwy okres. I nie przekonały tutaj sądu odwoławczego argumenty obrony. Nie zdecydowała sytuacja i postawa matki. „Nie ma wątpliwości, że tragiczny skutek uzasadniał surową karę, ale dziś są wskazania, by wyrok zawiesić” - uznał sąd okręgowy. W jego ocenie oskarżona na to zasługiwała, bo nie miała od tamtej pory problemów z prawem, pracowała, a największą karą była dla niej śmierć dzieci. Takie słowa w uzasadnieniu padły. ©

PS Imiona bohaterów tekstu zostały zmienione.



FOT. PIKABAY

Wojciech Jankowski, rzecznik Nadleśnictwa Lesko: - Z dużą dozą prawdopodobieństwa wiemy, że był to pojedynczy, duży samiec, który był widywany na tamym terenie

NIE KRZYCZAŁA. NIEDŹWIEDŹ MUSIAŁ JĄ SZYBKO ZABIĆ

Przy ofierze nie znaleziono butli z gazem, służącej do obrony przed niedźwiedziami, choć niedługo przed śmiercią, na szkoleniu z pierwszej pomocy, miała powiedzieć, że takową posiada

Dorota Mękarska

Edyta K. miała 58 lat. Pochodziła z Komańczy. Jako młoda dziewczyna trafiła do Mokrego w gminie Zagórz. Urodziła troje dzieci. Pracowała na kolei, ale gdy kolej na linii 108 padła, pozostała bez roboty. Wraz z mężem udała się na emigrację i przez wiele lat mieszkała w Grecji. Przed kilkunastoma latami wróciła do Polski, na stare śmieci. Imiała się różnych zajęć, pracowała przy sadzeniu lasów, przy zabezpieczaniu sadzonek przez zwierzyną, aż wreszcie na stałe znalazła zatrudnienie w MOPS. Pomagała seniorom i chorym.

Nie miała łatwego życia. Małżeństwo nie było jak z bajki i w domu nie przelewało się, ale starała się dbać o rodzinę.

Dorabiała do domowego budżetu, zbierając grzyby i poroże.

Zbieranie zrzutów ma długą tradycję. Kiedyś było to hobby i współzawodnictwo.

- Z biegiem czasu to się zmieniło - mówi Mirek Piela, przewodnik bieszczadzki. - Przede wszystkim z powodu wilków, ale także człowieka zmniejszyła się znacznie populacja jelenia i zrodziła się nowa forma zbieractwa. W tej chwili, oprócz kolekcjonerów za zrzutami chodzą ludzie niezamożni, którzy chcą zarobić dodatkowy grosz, bo las jest często ich jedynym źródłem utrzymania, oprócz zasiłków. To wynika z potężnej desperacji. Ludzie mają świadomość, że w lesie jest obecnie niebezpiecznie, ale idą i zbierają zrzuty, bo co

mają robić? Kraść? Na tym terenie jest duże bezrobocie i ta grupa społeczna jest niejako życiowo zmuszona do zbierania.

Miejsce

W zeszły czwartek Edyta ostatni raz poszła do lasu. Razem z synem zapuścili się w okolice leżącej po sąsiedzku Płonnej. To sołectwo położone na pograniczu Beskidu Niskiego i Pogórza Bukowskiego. Przed II wojną światową była to duża i zamożna wieś - liczyła ponad 1000 mieszkańców. Po akcji „Wisła” w 1947 r. niemal przestała istnieć. W PRL na jej terenach utworzono Państwowe Gospodarstwo Rolne. Dzisiaj mieszka w niej 7 mieszkańców.

Asp. sztab. Anna Oleniacz, rzecznik prasowy policji w Sa-

noku, określiła teren, w którym doszło do ataku jako trudny, i tak jest w istocie, ale w wielu przekazach zrobiono z tego miejsca „królestwo zwierząt”, choć leży ono zaledwie 2 km od najbliższych zabudowań.

Do ataku doszło w lesie użytkowanym gospodarczo. Jest to teren Nadleśnictwa Lesko, leśnictwo Mokre. Oddział leśny ma numer 151 i leży w kompleksie leśnym zwanym Żurawinka. Jak tłumaczy Wojciech Jankowski, rzecznik prasowy Nadleśnictwa Lesko, tamtejszy las stanowi drzewostan na gruntach porolnych, czyli założony na dawnych polach.

- Wspominanie o „rzadkich wizytach, w miejscu, gdzie znajdują się wieże nadajnikowe, składy drewna, tereny rolnicze oraz liczne szlaki turystyczne i pielgrzymkowe, jest zwyczajnie niepoważne. To miejsce stałej aktywności ludzi - pracowników, rolników i turystów - zauważa autor listu, który trafił do redakcji „Nowin”.

W mediach społecznościowych pojawiły się natychmiast informacje, że kobieta weszła na teren młodnika, że jest to matecznik niedźwiedzia i ostoja zwierzyny.

Zaprzecza temu Wojciech Jankowski. - Nie ma żadnych przeciwwskazań, ani żadnych zakazów zabraniających ludziom wchodzić do lasu, czy to na spacer, czy w celu zbierania grzybów, poroży czy jagód - podkreśla.

Wszystko też wskazuje na to, że do ataku doszło poza terenem młodnika.

- Wiemy, że niedźwiedź zaatakował ofiarę i wciągnął ją do młodnika. Świadczy o tym, że widzieli buty wystające poza jego obszar - podkreśla rzecznik Nadleśnictwa Lesko.

Z kolei dr Wojciech Śmietana, badacz drapieżników, prezes Fundacji Przyroda i Nauka, który był na miejscu tragedii, nie stwierdził śladów walki, ani wleczenia ofiary. Jak zaznacza, obecne były natomiast ślady silnego krwotoku. Ze względu na suche podłoże nie znalazł tropów bezpośrednio w miejscu zdarzenia.

Dokonał też oględzin jego bezpośredniego sąsiedztwa. Około 15 m dalej znalazł miejsce mogące stanowić legowisko niedźwiedzia.

Drapieżnik

Pierwsze informacje, które dotarły do mediów, mówiły, że ataku mogła dokonać niedźwiedzica z trójką młodych. Tym opinia publiczna zaczęła tłumaczyć agresję zwierzęcia. Późniejsze ustalenia wskazują raczej na samotnego osobnika.

Dr Śmietana pojedyncze odciski łap odnalazł w odległości około 0,5 km.

- Ich wielkość wskazuje na młodego samca lub

dorośli samiec - uważa badacz.

Zdaniem naukowca z ostatecznymi wnioskami trzeba czekać na wyniki sekcji zwłok wraz ze szczegółową analizą obrażeń.

- Konieczne jest wykonanie pełnej dokumentacji fotograficznej i opisowej dla analiz porównawczych. Należy również zabezpieczyć materiał biologiczny, w tym wymazy mogące zawierać ślinę drapieżnika, a także ewentualną sierść lub inne ślady biologiczne - podkreśla biolog.

- Z dużą dozą prawdopodobieństwa wiemy, że był to pojedynczy, duży samiec, który był widywany na tamym terenie. Jest on regularnie obserwowany i rejestrowany na fotopułapkach. Dla uzupełnienia dodam, że bytuje na tym terenie też niedźwiedzica z dwoma lub trzema młodymi - wyjaśnia rzecznik Nadleśnictwa Lesko.

Atak

- Mam nadzieję, że siostra długo się nie męczyła, ale wszystko wskazuje na to, że niedźwiedź musiał ją szybko zabić, dlatego że nie krzyczała. Gdyby nie telefon do syna, to Dawid by nawet nie wiedział, gdzie jest mama - mówi Paweł Winkowski, brat ofiary.

Edyta i Dawid rozdzielili się w lesie. Każde poszło inną ścieżką, ale nie dzielił ich szmat drogi. Z relacji rodziny wynika, że kobieta zauważyła młode zwierzę - prawdopodobnie jelenia - i chwilę później doszło do dramatycznych wydarzeń. Akurat w tym czasie rozmawiała przez telefon z synem, który usłyszał tylko krzyk: „Niedźwiedź!”. Następnego telefonu kobieta już nie odebrała.

Brat odpiera pogłoski, że siostra musiała zachowywać się bezgłośnie. Nie należała do takich.

- Ona nigdy nie była cicho - mówi Paweł. - Mówiłem nawet na nią „rozwrzeszczana Jadźka”.

Po dramatycznym krzyku matki Dawid natychmiast rozpoczął poszukiwania. Po krótkim czasie odnalazł ją. Miała rozległe obrażenia i nie dawała już oznak życia.

Przy ofierze nie znaleziono butli z gazem, służącej do obrony przed niedźwiedziami, choć niedługo przed śmiercią, na szkoleniu z pierwszej pomocy, Edyta miała powiedzieć, że takową posiada. Trudno jednak dzisiaj dywagować, czy gaz uchroniłby ją przed tragicznym końcem.

- To jest taki moment i taka siła, że człowiek nawet nie wie, co ma ze sobą zrobić. Sam byłem w takiej sytuacji i gdyby nie kolezdy, może już by mnie nie było na świecie - przyznaje się Paweł.

W zeszły czwartek mężczyzna pracował, jak zwykle, na składzie drewna. Pierwsza zadzwoniła siostra. Paweł usłyszał płacz. Potem zobaczył, że

dobija się do niego Dawid. Młody mężczyzna przekazał bratu straszny komunikat.

Paweł wsiadł w auto i razem z kolegą pojechał do Płonnej.

- Na ciele były ewidentne ślady ataku niedźwiedzia - nie kryje strasznych szczegółów. - Przede wszystkim na głowie. Gdy niedźwiedź obalił ją na ziemię, stanął na jej plecach, gryzł i szarpał pazurami czaszkę.

Informacja o śmierci kobiety lotem o błyskawicy obiegła krajowe i zagraniczne media. Do tragedii odniósł się Związek Leśników Polskich RP.

- Musimy to sobie powiedzieć otwarcie - pogłowie niedźwiedzi, wilków, żubrów czy łośi w Polsce wymknęło się spod jakiegokolwiek kontroli. Niestety, każde bicie na alarm w tej sprawie od lat spotyka się z histerią i agresją. To właśnie ta ideologia, blokująca racjonalną regulację populacji dzikich zwierząt, jest pośrednią przyczyną tragicznej śmierci kobiety w Płonnej. Tyle jeśli chodzi o brutalną prawdę.

System

Do redakcji „Nowin” dotarło pismo, którego autor wskazuje ma wysokie prawdopodobieństwo niedopełnienia obowiązków oraz narażenie na niebezpieczeństwo przez funkcjonariuszy publicznych odpowiedzialnych za bezpieczeństwo publiczne oraz ochronę przyrody w regionie Pogórza Bukowskiego.

- Tragedia w Płonnej nie była „lekcją pokory wobec natury”, lecz skutkiem urzędniczego zaniechania - czytamy. - Instytucje ochrony przyrody przedłożyły ideologię ochrony drapieżnika nad konstytucyjny obowiązek ochrony życia ludzkiego. Brak realnych działań, odłowów, płoszenia, eliminacji osobników konfliktowych, w sytuacji lawinowo rosnącej liczby incydentów medialnych jest dowodem na paraliż decyzyjny i brak profesjonalizmu. Mieszkańcy Pogórza zostali de facto wykluczeni z systemu bezpieczeństwa państwa, stając się zakładnikami we własnych domach. Domagamy się pełnego wyjaśnienia, dlaczego głosy społeczności i dowody medialne były ignorowane aż do momentu, gdy doszło do rozlewu krwi.

Bieszczadnik Mirek Piela zwraca uwagę na ograniczenie praw mieszkańców Bieszczad i Pogórza. Formalnie są to co prawda tylko zalecenia i rekomendacje, ale presja społeczna nie pozostawia złudzeń.

- Nie chcę być złośliwy, ale w rezerwacie Indianie mieli większe prawa niż my obecnie - uważa radny gminy Lutowska. - Nie możemy chodzić do lasu, bo zaraz podnosi się krzyk. Mieszkamy więc wśród lasów, ale z powodu drapieżników mamy siedzieć uwięzieni w domach. ©

Panie profesorze, mamy dobrą konstytucję?
Moim zdaniem, niestety, w wielu punktach ona jest nie-dobra. Najgorsza oczywiście jest kwestia konstrukcji władzy wykonawczej, dlatego że mamy permanentne konflikty kolejnych rządów i premierów z kolejnymi prezydentami. W tej chwili obserwujemy kolejną burzliwą kohabitację i nie zapowiada się, że ona złagodnieje w przyszłości; raczej się zaostrzy. Poza tym jest wiele innych dość nieprecyzyjnych zapisów. Moim ulubionym przykładem jest ten, który dotyczy Trybunału Konstytucyjnego, bo tam ma pani bardzo słuszny zapis, że Trybunał Konstytucyjny jest całkowicie niezawisły od innych organów władzy państwowej. I gdyby konstytucja na tym się kończyła w sprawie Trybunału, byłoby dobrze. Tylko że zaraz potem jest artykuł, który mówi, że szczegóły działania Trybunału określa ustawa uchwalana przez Sejm. Ten artykuł posłużył PiS-owi do, że tak powiem, włamania się do Trybunału i rozważenia go od środka. Jeżeli jest niezawisły, to sam sobie powinien określać zasady swojego działania. To jest przykład całego szeregu nie-konsekwencji w konstytucji, stworzenia takich furtek, które później były forsowane przez różnych polityków, bo duch konstytucji nie był przestrzegany.

Na tamte czasy, kiedy powstała, to było wszystko, co można było stworzyć?

To była konstytucja, która była dziełem kompromisu ugrupowań centro-lewicowych, bo to był Sejm wybrany w 1993 roku, gdzie prawica - zresztą na własne życzenie, bo się tak podzieliła, że padła ofiarą progów wyborczych. W praktyce to cztery partie uchwaliły tę konstytucję: SLD, PSL, Unia Wolności i Unia Pracy. Od biedy można PSL i Unię Wolności uznać za partie centrowe. Natomiast Unia Pracy i SLD były ewidentnie lewicowe. Prawicy tam nie było i to było powodem ataków, bo konstytucja właściwie od początku była obiektem bardzo ostrej krytyki. W referendum cała prawica wzywała do jej odrzucenia. Ona wprawdzie przeszła, jak wiemy, w referendum w 1997 roku, ale krytycy podnoszą, że to jest kolejny paradoks konstytucji.

Dlaczego?

W referendum w maju 1997 roku brało udział czterdzieści kilka procent uprawnionych. Tymczasem ta konstytucja mówi, że za wiążące uważa się tylko te referenda, w których bierze udział co najmniej połowa uprawnionych. Czyli paradoks konstytucji polega

– Są ustroje mniej czy bardziej funkcjonalne. W Polsce ten system, który mamy, system mieszany: ni to prezydencki, ni to parlamentarno-gabinetowy, jest coraz mniej funkcjonalny i w którymś momencie, moim zdaniem, załamie się i zostanie zastąpiony, obawiam się, że przez system prezydencki – mówi prof. Antoni Dudek, politolog

Dorota Kowalska



Prof. Dudek: W polskich realiach system prezydencki może pójść w złym kierunku

PROF. DUDEK: SYSTEMY PREZYDENCCKIE PROWADZĄ DO RZĄDÓW AUTORYTARNYCH

na tym, że przyjęto ją w referendum, które nie spełnia warunków referendalnego określonego przez tę konstytucję, co też jest przedmiotem krytyki.

Więc ta konstytucja od początku miała problemy!

Dokładnie. Natomiast, żeby była jasność, ja dzisiaj jestem i tak o niej lepszego zdania niż byłem pod koniec lat 90., bo wtedy wydawało mi się, że

Polska może sobie zafundować lepszą ustawę zasadniczą. Ale dziś widzę, że to było maksimum tego, na co nas było wtedy stać. Bo gdyby układ sił w tamtym Sejmie był inny, czyli była tam silniejsza prawica, to prawdopodobnie w ogóle żadnej konstytucji byśmy nie mieli. Mielibyśmy konstytucję z 1952 roku, z kolejnymi poprawkami. Przecież widać wyraźnie, że konflikt polityczny od tamtego czasu

tylko się nasila i niezdolność do jakiegokolwiek porozumienia jest coraz głębsza.

Prezydent chciałby zmiany konstytucji. To chyba w tym momencie jest niemożliwe, prawda?

W tej chwili nie. I to mnie bardzo cieszy. Nie kryję, że ten kierunek zmian, który chciałby Karol Nawrocki, zmartwiłby mnie, bo to byłaby próba ustanowienia

w Polsce systemu prezydenckiego. Natomiast nie wiemy, jak się dalej sytuacja potoczy. Jeśli dojdzie do wyraźnej zmiany w nastrojach społecznych na przykład wskutek pogorszenia sytuacji gospodarczej, to wtedy ugrupowania prawicowe mogą zyskać większość bliską konstytucyjnej, co przy pewnych chwytach, które już dzisiaj zostały zastosowane na małą skalę, a w następnym Sejmie mogą zostać

zastosowane przez większość na dużo większą skalę, to wszystko jest możliwe. Po-wiem, o co chodzi. Dziś mamy dwóch posłów na trwałe poza granicami Polski, obaj uciekli z obawy przed uwięzieniem. Gdyby ich zamiast dwóch było na przykład dwudziestu kilku albo trzydziestu kilku, to wtedy większość niezbędna do uchwalenia zmiany konstytucji znacząco się obniża. A przecież nie wiemy, jak się zachowa następna hipotetyczna prawicowa większość w Sejmie. Kiedy słucha się polityków PiS-u, to oni właśnie cały czas grożą członkom rządu Tuska, potencjalnym przyszłym posłom opozycji, że ci będą siedzieć. Tym bardziej że ta konstytucja - i to jest jej kolejna wada - do pewnego stopnia jest słabo zabezpieczona przed zmianą.

To znaczy?

Mianowicie ta konstytucja jest podzielona, jeśli chodzi o zmiany, na dwie części. To znaczy na te części, które można zmienić wyłącznie z udziałem parlamentu, i na tę część, do której, żeby ją zmienić, potrzebne jest referendum. Ale jeśli chodzi o tę część konstytucji, do której nie trzeba referendum, to jest powiedziane, że musi być to większość dwóch trzecich. I wszyscy o tych dwóch trzecich mówią, ale zapominają, od jakiej liczby posłów to się liczy. Otóż jest to większość dwóch trzecich od dwustu trzydziestu jeden posłów. Czyli na sali nie musi być czterystu sześćdziesięciu posłów, żeby zmieniać konstytucję, wystarczy dwustu trzydziestu jeden. I jak z tych dwustu trzydziestu jeden będzie się miało dwie trzecie, to można konstytucję w znaczącym stopniu zmienić. Nie w całości. Więc reasumując: sprawa jest dość skomplikowana i może pójść w kierunku takim jak powiedziałem, czyli przy pewnym wahnięciu nastrojów i pewnej jeszcze większej brutalizacji polityki niż ta, z którą mamy dzisiaj do czynienia, to taka zmiana w kierunku systemu prezydenckiego jest możliwa. PiS kiedyś otwarcie mówił, że jest za systemem prezydenckim, później zamilkł w tej kwestii. I właściwie nie ma jasnego stanowiska PiS-u w sprawie ustroju politycznego, bo PiS usunął swój projekt konstytucji, który miał jeszcze do 2015 roku na stronie internetowej. Prezes Kaczyński w tej sprawie, delikatnie mówiąc, niejasno zaczął się wyrażać. Natomiast obie Konfederacje, czyli Konfederacja Mientzena i Bosaka, i Korona, są wyraźnie zwolennikami systemu prezydenckiego.

Panu się system prezydencki nie podoba?

Tak, mnie się nie podoba. Uważam, że w realiach większości krajów systemy prezydenckie szybko prowadzą do rządów autorytarnych. Doświadczyły tego liczne kraje Ameryki Południowej czy Łacińskiej, także Afryki czy Azji. W Europie to może nie było tak oczywiste, ale też w Europie nie ma w ogóle klasycznego systemu prezydenckiego. Najbardziej znany model francuski to tak zwany model półprezydencki, gdzie władza prezydenta jest mniejsza niż w klasycznym systemie prezydenckim, za jakiego ojczyznę uchodzą Stany Zjednoczone. Tam władza prezydenta jest większa. Myśmy zresztą mieli system prezydencki już raz w Polsce, tylko on się nie zdołał w pełni rozwinąć. Ustanowiła go konstytucja kwietniowa z 1935 roku. To był system ultraprezydencki, bo tam władza prezydenta była jeszcze większa niż w systemie amerykańskim. Było jasno powiedziane, że prezydent stoi ponad wszystkimi rodzajami władzy, a więc także ponad parlamentem. W systemie amerykańskim, tym klasycznym prezydenckim, jest równowaga między trzema rodzajami władzy, równowaga i separacja, czyli władza ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Natomiast w polskich realiach system prezydencki może pójść w złym kierunku, co do wodzi ewolucja ustrojów choćby w sąsiedniej Białorusi, gdzie bardzo szybko system prezydencki Łukaszenko zamienił w swoją dyktaturę. Takie próby były też podejmowane w Ukrainie. I de facto kolejne rewolucje w Ukrainie, poczynając od pomarańczowej, miały także i ten kontekst. Już nie chcę mówić o Rosji, bo to jest klasyczny przykład pozornego systemu prezydenckiego, który w praktyce jest dyktaturą jednego człowieka – Putina.

Właśnie, ten system jest o tyle niebezpieczny, że prezydentem może zostać po prostu szaleniec. I co wtedy?

Wie pani, szaleniec jak szaleniec, ale przede wszystkim może nim zostać jakiś człowiek o dyktatorskich skłonnościach. I tu jest główny problem. Jeśli mamy przypadek szaleńca, czyli osoby stuprocentowo chorej psychicznie, to są różne procedury umożliwiającej usunięcie jej z urzędu. Chociaż pojęcie choroby psychicznej też jest, delikatnie mówiąc, mocno nieostre. To jest oczywiście kazus obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wszyscy się zastanawiają, czy on jest człowiekiem w pełni władz umysłowych, czy nie jest. Zdania są w tej kwestii podzielone. Natomiast na razie sytuacja w Kongresie jest dla niego ko-

rzystna. Zobaczymy, jaka będzie po półmetkowych wyborach, które odbędą się w listopadzie. Być może republikańskie stracą większość w obu izbach Kongresu i wtedy może się rozpocząć próba usunięcia prezydenta Trumpa z urzędu. Ale to może nie być proste, dlatego że tam trzeba mieć określoną kwalifikowaną większość w Izbie Reprezentantów i w Senacie.

System parlamentarno-gabinetowy, jaki obowiązuje u nas, też nie jest dobry, bo – wspomnieliśmy Pan o tym – nie ma żadnej współpracy między parlamentem a prezydentem, jeżeli reprezentują inne środowiska polityczne.

Tak, to prawda, ale to wynika z tego, że my nie mamy klasycznego systemu parlamentarno-gabinetowego, jaki jest na przykład w Niemczech. Mamy prezydenta wybieranego w wyborach powszechnych, co mu daje ogromne uprawnienia politycznie, po zakonstytucyjnie – to jest niezwykle silny mandat. Po drugie, mamy cały szereg sformułowań w konstytucji, które są niejednoznaczne i które już były przedmiotem sporów i rozstrzygnięć przez Trybunał Konstytucyjny. Klasyczna konhabitacja Lecha Kaczyńskiego z Donaldem Tuskiem i spór o to, kto ma reprezentować Polskę na szczytach Rady Europejskiej. Kaczyński chciał jechać zamiast Tuska, a Tusk się na to nie zgadzał i oddał sprawę do TK. I Trybunał Konstytucyjny, który jeszcze wtedy nie był tak kontrowersyjny, jak obecnie, czyli uznawały go zasadniczo obie strony, wydał wyrok, który jest dla mnie kwintesencją problemu, który mamy. Powiedział tak, że ilekroć pan prezydent chce jechać na szczyt Rady Europejskiej, ma prawo tam jechać, bo jest najwyższym reprezentantem, zgodnie z Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej za granicą, ale ma przedstawiać stanowisko, które mu przygotowuje rząd, bo to rząd kieruje polityką zagraniczną. A w ogóle, stwierdził Trybunał, obie strony powinny ze sobą współpracować. Finał tego orzeczenia jest taki oto, że prezydent teoretycznie może jechać, ale ma mówić to, co mu rząd każe, a jak prezydent nie chce tego mówić, to właściwie nie powinien jechać, ale on i tak może pojechać i mówić różne rzeczy. W efekcie mamy de facto dwie polityki zagraniczne. I moim zdaniem na to niestety w tym układzie sił nie ma rady. Natomiast prawda jest taka, że gdyby prezydent był wybierany w systemie niemieckim, zwanym kanclerskim, przez rodzaj zgromadzenia narodowego, to nie byłoby tego sformułowania, że jest najwyższym reprezentan-

tem. Wtedy pozycja prezydenta byłaby de facto czysto symboliczna. Trochę tak jak jest w Wielkiej Brytanii, w krajach skandynawskich, bo o tym warto wspomnieć, jak sobie mądrzy Skandynawowie tę sprawę rozwiązali.

Właśnie, jak?

Oni mają monarchię. Właściwie wszystkie kraje skandynawskie, a więc mówię o Szwecji, mówię o Norwegii, mówię o Danii, ale też przy okazji Holandii. To wszystko są kraje, które są monarchiami i mają problem głowy państwa rozwiązany, bo ten monarcha jest tam dziedziczny, nie ma żadnej realnej władzy. To są klasyczne systemy parlamentarno-gabinetowe. Naród sobie wybiera parlament, parlament wybiera rząd i ten rząd ma pełną władzę, jeśli ma poparcie w parlamencie. Głowa państwa, czyli monarcha, nie może odmówić podpisania ustawy, bo byłby złożony z urzędu na mocy konstytucji. Natomiast my mamy prezydenta z prawem weta, które paraliżuje bardzo często pracę rządu, co dzisiaj widzimy w wielu obszarach. I mamy permanentny konflikt polityczny. Nie mówię, że powinniśmy wrócić do monarchii, bo jestem republikaninem, ale mamy postępujący paraliż państwa; mówią szczerze, nie widzę szans na wyjście z tej sytuacji. Zwłaszcza od momentu, jak wymontowaliśmy teoretycznie organ, który mógłby być, hipotetycznie, arbitrem, czyli Trybunał Konstytucyjny. Bo w założeniu autorów obecnej konstytucji wszystkie spory między innymi organami władzy ma rozstrzygać Trybunał Konstytucyjny. I to, co do zasady, jest fajna reguła, tylko pod jednym warunkiem: mianowicie wszystkie strony liczące się w polskiej polityce muszą uznawać wyroki tego Trybunału i przy nim nie grzebać.

A tak nie jest!

Nie mamy tego bezpiecznika. Wszystko koroduje i próchnie coraz bardziej. Pozostaje pytanie, jak się to wszystko potoczy w sytuacji krytycznej, której na szczęście ciągle nie mamy, bo nie mamy na przykład Putina najeżdżającego Polskę, ani nie mamy czegoś, co nam grozi przy okazji którychś kolejnych wyborów, a mianowicie sytuacji, w której ktoś musi rozstrzygnąć, czy wybory były rzetelne, czy nie. Teoretycznie jest Państwowa Komisja Wyborcza, ale ona też jest dzisiaj coraz bardziej atakowana, tym razem przez PiS, które zresztą zreformowało PKW, które było kiedyś złożone wyłącznie z sędziów. PiS uznało, że to jest przejaw sędziokracji, więc zmienił sposób wybierania PKW i de facto

dzisiaj PKW jest odzwierciedleniem większości parlamentarnej. Niby są tam prawnicy, ale wybierani już z klucza nie sędziowskiego, tylko politycznego. I przewagę ma dzisiaj w PKW koalicja rządząca. Natomiast co będzie się działo po wyborach w przyszłym roku, czas pokaże. Myślę, że jeśli w ogóle dojdzie do uznania wyników wyborów, to nowa większość, jeśli się taka uformuje, natychmiast tę PKW wymieni na taką, która będzie odzwierciedlała jej interesy.

Ale mówi Pan tak, jakby był pewny, że w przyszłym roku władza przejdzie w ręce prawnicy.

Nie, nie jestem pewny, bo widzieć wyraźnie, że efekt Nawrockiego, którego się spodziewałem w postaci jakichś bardzo wysokich notowań PiS-u, się nie sprawdził. Paradoksalnie głównymi beneficjentami zwycięstwa Nawrockiego okazali się, z jednej strony Korona Brauna, a z drugiej strony Donald Tusk, który teoretycznie powinien być w tarapatach, a przeciwnie, ze strachu cała antyprawicowa część wyborców skupiła się wokół Koalicji Obywatelskiej, która ma rekordowo wysokie poparcie. Pamiętajmy jednak, że świat dzisiaj wisi na krawędzi recesji. Jeżeli ta awantura, którą Trump rozpetał na Bliskim Wschodzie, będzie trwała dłużej, to po prostu dojdzie do recesji, ale w każdym bądź razie do bardzo dużego załamania gospodarczego, które tym razem już Polski na pewno nie ominie. Nam się udało wskutek splotu okoliczności w 2008 roku uniknąć skutków ostatniego wielkiego kryzysu finansowego na świecie. Ale tym razem nam się już nie uda. I siłą rzeczy może dojść do znaczącego pogorszenia sytuacji gospodarczej na przestrzeni najbliższego półtora roku, co oczywiście głównie odczują rząd. Dlatego że w Polsce, co do zasady wszystkie wybory, nie tylko parlamentarne, także i prezydenckie, co pokazał los Trzaskowskiego w ubiegłym roku, są w dużym stopniu sposobem oceny rządu. Jak rząd jest dobry, to kandydat rządowy wygrywa, jak ludzie są niezadowoleni z rządu, a mogą być sytuacja materialna pogarsza, to głosują przeciw rządowi. I w tym momencie wkracza prawica. Jak pani spojrzy dzisiaj na sondaże, to z większością z nich wynika sytuacja, która przypomina nam trochę rok 2023. PiS wygrało wybory, ale nie miało, z kim zrobić koalicji. Więc Koalicja Obywatelska może wygrać wybory, tylko nie będzie miała z kim zrobić koalicji i w efekcie będziemy mieli koalicję trzech formacji prawicowych. Więc w tym

sensie to jest bardziej prawdopodobne, ale na pewno nie jest przesądzone.

A wracając do systemów politycznych – który jest najlepszy?

Jestem zwolennikiem systemu zbliżonego do systemu niemieckiego, czyli tak zwanego systemu parlamentarno-gabinetowego, ale w tej wersji bardzo wyraziście wzmacniającej szefa rządu, czyli systemu kanclerskiego, w którym prezydent jest człowiekiem o bardzo słabym mandacie politycznym, bo nie pochodzi z wyborów powszechnych. Natomiast jest zarazem politykiem, który jest wybierany na przykład przez rodzaj zgromadzenia narodowego poszerzonego o przedstawicieli samorządów. Wyobraźmy sobie, że dzisiaj zgromadzenie narodowe to czterystu sześćdziesięciu posłów, stu senatorów i podajemy to o pięćset sześćdziesiąt przedstawicieli sejmików i ta ponad tysiącso-bowa grupa wybiera trzema piątymi prezydenta. To człowiek, który musi być w efekcie postacią kompromisową, bo szansa, żeby jedna partia polityczna zdominowała tak bardzo sejmiki, Sejm i Senat, jest znikoma. Więc jest to kandydatura kompromisowa. Ten polityk konstytucyjnie nie ma istotniejszych uprawnień, nie ma prawa weta. Natomiast może być mediatorem, to znaczy z racji tego, że ma pozycję głowy państwa, a zarazem jest osobą wybraną na zasadzie kompromisu w wypadku jakichś ostrych konfliktów politycznych między opozycją a większością rządową, staje się mediatorem, prawda? Taki ustrój, moim zdaniem, miałby sens. Tylko że większość Polaków go nie chce, bo stale słyszę, jak o tym mówię, że to będzie mniej demokratyczne, bo naród nie będzie sobie wybierał głowy państwa. Rzeczywiście, w tym sensie to będzie mniej demokratyczne. Tyle tylko, że dzisiaj demokracja przedstawicielska i tak jest kulawa. Natomiast ja mówię o systemie bardziej funkcjonalnym, a nie o systemie idealnym. Ludzie wierzą, że demokracja może działać jako ustrój idealny. Nie ma ustrojów idealnych, są po prostu ustroje mniej czy bardziej funkcjonalne. W Polsce ten system, który mamy, system mieszany: ni to prezydencki, ni to parlamentarno-gabinetowy, jest coraz mniej funkcjonalny i w którymś momencie, moim zdaniem, załamie się i zostanie zastąpiony, obawiam się, że przez system prezydencki, a nie ten, o którym ja mówię.

Co Pana zdaniem może doprowadzić do takiego załamania?

Dojście do sytuacji totalnego konfliktu między prezydentem a rządem, dlatego że to wszystko coraz bardziej wzbiera. Natomiast jeszcze nie przybrało form, powiedziałbym, ostatecznych w rodzaju prezydenta, który udaje się – jak to kiedyś próbował robić de Gaulle – do jednostki wojskowej i mówi, że właściwie nie uznaje już tego rządu i wzywa armię, żeby położyła kres. To jest trochę to, co robił Piłsudski. Tylko on nie był urzędującym prezydentem. Dzisiaj mamy do czynienia z sytuacją postępującego konfliktu, możliwe są różne scenariusze. Najprostszy to weto permanentne. Prezydent w pewnym momencie powie, że uważa ten rząd za nielegalny, antypaństwowy, działający na szkodę Rzeczypospolitej i w związku z tym nie poprze żadnej ustawy. Można sobie wyobrazić takie zachowanie. To byłoby oczywiście złamanie przez prezydenta konstytucji, ale w parlamencie nie ma większości dwóch trzecich w Zgromadzeniu Narodowym, żeby prezydenta usunąć z urzędu. I mamy de facto sytuację, w której pewnie rząd uznałby wtedy, że skoro prezydent odmawia pełnienia tej roli, to się de facto sam pozbawia urzędu. I w jego miejsce wchodzi zgodnie z konstytucją marszałek Sejmu. Tyle tylko, że to jest absurdalne, bo tak naprawdę powinno się wtedy zorganizować nowe wybory prezydenckie. Ilość scenariuszy jest bardzo różna. Natomiast generalnie widzę, że system funkcjonuje mimo postępującego paraliżu. Przypominamy państwo, w którym ten paraliż nie jest gwałtowny. Tak stopniowo, miesiąc po miesiącu, rok po roku widzimy coraz większy bezwład w różnych obszarach, stan permanentnego chaosu. Więc w którymś momencie, zakładam, dojdzie do przesilenia, bo nie jest możliwe, żeby taki postępujący paraliż trwał w nieskończoność. Natomiast kiedy to będzie, jak się to odbędzie, nie mam pojęcia.

Prezydent idzie do wojskowych i każe im obalić rząd? Nie wierzę, że to się wydarzy w XXI wieku!

Wielu ludzi uważało, że nie jest możliwa pełnoskalowa wojna w Europie w XXI wieku i ma pani tą wojnę, prawda? Wierzyła pani, że taki człowiek jak Donald Trump ponownie zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych? Żyjemy w rzeczywistości coraz bardziej nieprzewidywalnej. Nie twierdzą, że moje prognozy muszą się zrealizować, natomiast nie widzę powodów, dla których miałbym je uznać za wykluczone.

LITWO, TY JESTEŚ JAK ZDROWIE

Lekarze zalecali, aby jeździł do wód za granicę, ale marszałek Józef Piłsudski nad szwajcarskie kurorty przedkładał Druskieniki. Mówił, że dla zdrowia potrzebuje właśnie tego krajobrazu. Dziś nie tylko Druskieniki, ale i inne litewskie uzdrowiska otwierają się na polskich turystów

Anita Czupryn, korespondencja z Litwy

Dla Polaków Litwa nigdy nie była zwykłym kierunkiem turystycznym. Jest bliska geograficznie i historycznie. Kojarzy się z Wilnem, Ostrą Bramą, Mickiewiczem, zamkiem w Trokach i Druskienikami z czasów II Rzeczypospolitej. A jednocześnie dziś chętnie pokazuje nowoczesną twarz również innych kurortów: świetne sanatoria, dobrze rozwinięta balneologia i luksusowe hotele, gdzie w recepcjach mówi się po polsku. W końcu Adam Mickiewicz nieprzypadkowo pisał: „Litwo, ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie”.

W ramach wzmocnienia wizerunku Litwy jako kierunku turystycznego, w tym zdrowotnego, w dniach od 13 do 17 kwietnia w Druskienikach odbyło się pierwsze Forum Turystyki Sanatoryjno-Uzdrowiskowej, zorganizowane przez Polską Izbę Turystyki, Lithuania Travel oraz gminę Druskieniki. Zaproszono polskie biura podróży, dziennikarzy i litewskich przedstawicieli branży uzdrowiskowej. A jest o co zabiegać. W ubiegłym roku Litwę odwiedziło około 1,5 mln turystów zagranicznych, więcej niż rok wcześniej, ale wciąż mniej niż przed pandemią. W 2019 roku było ich około 1,9 mln. Dziś Polacy zajmują pierwsze miejsce wśród zagranicznych gości: przyjechało ich około 174 tys., czyli 12 proc. całego zagranicznego ruchu turystycznego. - Zachęcamy do ponownego odkrywania Litwy, i to w nieoczywisty sposób. Nasz kraj to nie tylko zabijki, ale autentyczne doświadczenia i luksus w cisy - mówi Olga Gončarova, dyrektor zarządzająca Lithuania Travel, narodowej agencji rozwoju turystyki, działającej przy Ministerstwie Gospodarki i Innowacji Litwy, odpowiedzialnej za promocję turystyki przyjazdowej i krajowej. Z badań wynika, że polscy turyści lubią zwiedzać miasta, dobrze zjeść i wypocząć na łonie przyrody. Litwa ma to wszystko, ale ma też uzdrowiska: Druskieniki, Birsztany, Połagę i Neringę. Każde jest inne, ale razem budują wspólną ofertę: blisko Polski, bezpiecznie, naturalnie, z dobrą jakością i ceną, i coraz mocniejszym nastawieniem na polskiego gościa.



Druskieniki to ulubiony kurort Józefa Piłsudskiego. Tutaj w w towarzystwie płk. Marcina Woyczyńskiego przy mostku na Rotniczance

Litwini chcą wyjść poza oczywisty krąg: niech to nie będą tylko turyści z pogranicza, nie tylko z Warszawy, nie tylko sentymentalny wyjazd do Wilna. Chcą przyciągnąć rodziny, seniorów, ludzi po zabiegach, osoby szukające rehabilitacji, ale też tych, którzy są po prostu zmęczeni i chcą odpocząć bez dalekiej podróży. Paweł Niewiadomski, prezes Polskiej Izby Turystyki, zwracał uwagę, że Polacy coraz częściej wybierają krótsze pobyty. A polski rynek wyjazdów jest dziś jednym z najbardziej dynamicznych w Europie i średnio rośnie o 10-12 proc. rocznie. Dla Litwy to ważna informacja, bo jej przewaga polega właśnie na bliskości. Można pojechać samochodem, autokarem albo samolotem. W wielu miejscach można porozumieć się po polsku. Czyli: być za granicą, ale po naszymu, bez poczucia obcości.

Druskieniki czyli Piłsudski, borowina i śnieg pod dachem

Druskieniki to dla Polaków najbardziej rozpoznawalne z litewskich uzdrowisk. Przed wojną leżały w granicach Polski i były modnym kurortem II Rzeczypospolitej. Przyjeżdżali tu lekarze, wojskowi, urzędnicy, artyści, zamożne rodziny. Nie tylko po to, żeby bywać. Przyjeżdżali po zdrowie: wodę mineralną, borowinę, powietrze, spacer i odpoczynek.

Od 25 lat Druskienikami rządzi burmistrz Ričardas Malinauskas. W tym czasie kurort bardzo się zmienił. W ubiegłym roku przyjechało tu około 400 tys. gości, a gdyby doliczyć wizyty jednodniowe, liczba odwiedzających sięgnęłaby miliona. Burmistrz podkreśla jednak, że nie poświęcił przyrody dla rozwoju miasta. Tu ponad 80 proc. powierzchni gminy zajmują

las. Jedną z najważniejszych grup gości są Polacy. Wprost mówi o tym, i to po polsku - Rimantas Palionis, dyrektor druskiennickiego Centrum Informacji Turystycznej. Przyciąga ich historia, ale nie tylko. Druskieniki mają dziś rozbudowaną bazę sanatoryjną, hotele spa, rehabilitację, aquapark, ścieżki spacerowe i rowerowe, infrastrukturę sportową oraz Snow Arenę, czyli zadaszony kompleks narciarski ze śniegiem przez cały rok. - Na Druskieniki można patrzeć jak na duży hotel rozpisany na całe miasto. Jedno skrzydło jest sanatoryjne: zabiegi, borowina, wody mineralne, rehabilitacja. Drugie to spa i wellness: krótsze pobyty, weekendy, regeneracja. Trzecie jest sportowe i rodzinne. W jednym miejscu jest więc klasyczne uzdrowisko, tropikalny aquapark i stok narciarski pod dachem, gdzie śnieg jest przez cały

rok - mówi Rimantas Palionis. Do tego dochodzi baza dla sportowców: piłka nożna, koszykówka, siatkówka, pływanie, sztuki walki, narciarstwo. Według lokalnych przedstawicieli trenują tu zawodnicy z wielu dyscyplin i krajów, w tym także kluby z Polski.

Druskieniki planują kolejne inwestycje. W ciągu roku ma powstać pałac kongresowy i nowoczesny dworzec autobusowy. Burmistrz zapowiada też atrakcję rzadką w europejskich miastach: balon widokowy startujący z terenu zabudowanego. Ma to wzmocnić ofertę turystyczną, ale nie kosztem lasów i uzdrowiskowego charakteru miejsca.

Najciekawsza historia Druskienik zaczyna się jednak od parku zdrowotnego i doktor Eugenii Lewickiej. W latach międzywojennych prowadziła tu Zakład Leczniczego Stosowania

Słońca, Powietrza i Ruchu. Była, jak na swoje czasy, nowoczesną lekarką. Propagowała gimnastykę, rehabilitację, ruch, leczenie świeżym powietrzem. W parku ćwiczyli mężczyźni, kobiety i dzieci. Chodziło o to, by ciało wzmocnić, a nie tylko leczyć wtedy, gdy już odmówi posłuszeństwa. Palionis przypomina, że Lewicka przywiozła do Druskienik skandynawską ideę zdrowego życia. Miała zachęcać nawet zamożne panie z Polski, by chodziły po parku bosą, bo to dobre dla zdrowia. Na tamte czasy był to odważny pomysł lekarki. Ale nade wszystko, o czym Litwini lubią wspominać, z Druskienikami związany był Piłsudski.

- Marszał przyjeżdżał tu najpierw z rodziną, potem sam - tak Piłsudskiego nazywa Rimantas Palionis. - Marszał zatrzymał się w skromnym domu, dziś już go nie ma, ale na pamiątkę posta-

wiono tam ławeczkę poświęconą polsko-litewskiej historii. W mieście zachowała się pamięć miejsc, w których bywał marszałek. Z doktorką Lewicką łączył go płomienny romans, opisywany później przez biografów, ale dla historii kurortu ważniejsze jest coś innego: Druskieniki były wtedy miejscem, w którym spotykały się zdrowie, polityka i prywatność. Dziś kurort nie próbuje żyć wyłącznie dawną sławą. W hotelach i sanatoriach można spotkać personel mówiący po polsku, co nie jest bez znaczenia dla starszych gości. Człowiek, który przyjeżdża na rehabilitację, chce rozumieć lekarza, zabieg i plan dnia. Druskieniki mają także tę przewagę, że mimo rozwoju nie są oblepiene reklamowym chaosem. Między sanatoriami, hotelami, parkiem i rzeką zostaje przestrzeń. Widać drzewa, ścieżki, wodę, ludzi spacerujących bez pośpiechu. Można tu przyjechać na turnus, weekend spa, rodzinny wyjazd, trening sportowy albo po prostu na kilka dni wytchnienia. Na jednym z zadań historia Piłsudskiego. Dla innych liczyć się będzie borowina. Dla dzieci z pewnością atrakcją będzie aquapark. A dla wszystkich atrakcją będzie las, rzeka Niemen i pyszna litewska kuchnia: cepeliny, kołduny.

Birsztany, czyli uzdrowisko w ludzkiej skali

Jeśli Druskieniki są kurortem rozległym i znanym, to Birsztany są bardziej kameralne, schowane w zakolach Niemna. Miejscowość liczy około czterech tysięcy mieszkańców, ale rocznie przyjmuje około 200 tys. turystów. - Druskieniki mogą przyjąć więcej ludzi. My przyjmujemy ich mniej, ale bardzo jakościowo - mówi Rūta Kapačinskaitė, dyrektor Centrum Informacji Turystycznej w Birsztanach.

Birsztany nie próbują być kurortem od wszystkiego. Miasto nie ma ambicji przyjąć tłumów, bo ogranicza je sama natura: rzeka, pętla Niemna i obszary chronione. Dzięki temu nie traci tego, co w uzdrowisku najważniejsze, czyli spokoju i kojących zalet przyrody. Podstawą tutejszej oferty jest balneologia, terapia borowinowa, woda mineralna i leczenie naturalnymi czynnikami. Birsztany przypominają, że w litewskiej historii uzdrowiskowej mają kilka pierwszych razów. To tu po raz pierwszy zaczęto stosować borowinę do celów leczniczych, tu po raz pierwszy certyfikowano wodę mineralną używaną w leczeniu i tu po raz pierwszy użyto dietetycznego podejścia do pobytu kuracyjnego. Miasto podkreśla też związki z filozofią Kneippa, czyli połączeniem wodolecznictwa, ruchu, ziół, odżywiania i równowagi psychicznej. W praktyce pobyt w sanatorium odbywa się w rytmie idealnym dla ciała i ducha: rano zabiegi,

potem spacer, picie wody mineralnej, odpoczynek, posiłek, sen. W Birsztanach można pójść nad Niemen, wspiąć się na 55-metrową wieżę widokową, najwyższą na Litwie, skąd roztacza się widok na zakola Niemna.

Birsztany chlubią się współpracą z uzdrowiskami po obu stronach granicy. W ramach programu Interreg „Partnerstwo uzdrowisk dla rozwoju pogranicza” współpracują Augustów, Birsztany, Druskieniki, Gołdap i Supraśl. Wartość programu to około 7 mln euro. Dzięki niemu budowano lub odnawiano infrastrukturę w polskich i litewskich kurortach, m.in. amfiteatr w Gołdapi, pomosty w Augustowie, plażę nad jeziorem Necko, ścieżki rowerowo-pieszne i park w Druskienikach.

Birsztany słyną też z balonów. Rūta Kapačinskaitė żartuje, że to balonoterapia, dobra na lęk wysokości. Według miejscowych opowieści baloniarstwo zaczęło się tu dzięki polskiemu pilotom, którzy uczyli Litwinów latać. Dziś lot nad zakolami Niemna jest jedną z najbardziej efektownych atrakcji.

Dla polskiego turysty ważny jest też język i medyczne zaplecze. Jednym z najważniejszych adresów jest sanatorium Eglės, działające na Litwie od 1972 roku. Ma ośrodki w Druskienikach i Birsztanach. Albert Zyniewicz z Eglės Sanatorija mówi, że oba ośrodki mogą łącznie przyjąć około dwóch tysięcy gości, a około 30 proc. personelu stanowią pracownicy z wykształceniem medycznym. To odróżnia sanatorium od zwykłego hotelu spa. W recepcjach i przy rezerwacjach można porozumieć się po polsku. Sanatorium ma też osoby obsługujące polskich klientów jeszcze przed przyjazdem. Przyjmuje pacjentów z bólem kręgosłupa, problemami neurologicznymi, chorobami stawów, układu oddechowego czy po leczeniu onkologicznym. Zyniewicz podkreśla, że Polacy należą dziś do najważniejszych klientów sanatoriów, wyprzedzając m.in. gości z Niemiec i Izraela. Litewskie ośrodki mocniej inwestują więc w polski rynek. W ofertach pojawiają się pobyty długoterminowe, turnusy z kilkoma zabiegami dziennie, dostępem do basenów, saun, pijalni wód mineralnych i rehabilitacją pod nadzorem specjalistów.

W czasie forum padła jednak ważna informacja praktyczna: w obecnym stanie prawnym NFZ nie refunduje kuracji sanatoryjnych poza granicami Polski. Mówił o tym wiceprezes NFZ Miłosz Anczakowski. Wyjazd do litewskiego sanatorium jest więc dziś dla polskiego pacjenta pobyt w prywatnym, ale przy dłuższych pakietach może być atrakcyjny cenowo.

Poługa i Neringa, czyli Bałtyk, bursztyn, molo

Litewskie uzdrowiska nie kończą się nad Niemnem. Mają



Birsztany nie mają ambicji przyjąć tłumów, bo ogranicza je sama natura: rzeka, pętla Niemna i obszary chronione



Molo w Połdze jest imponujące. No i wejście na nie jest zupełnie bezpłatne



Jedną z atrakcji Druskienik jest kolejka linowa, która odkrywa zupełnie nowe widoki na Niemen

też morski charakter. Poługa, czyli Palanga, to największy kurort Litwy i letnia stolica kraju. Poza sezonem jest spokojniej i bardziej zdrowotnie.

Rasa Kmitienė, dyrektorka Centrum Informacji Turystycznej w Połdze, mówi, że gdyby trzeba było opisać kurort jednym zdaniem, brzmiałoby ono: „Poługa - wybierz to, co lubisz”. Można zatrzymać się w hotelu

wysokiej klasy albo w prywatnej kwaterze. Zjeść w barze albo w restauracji o wyższym standardzie. Spędzać czas aktywnie, na rowerze i przy sportach wodnych, albo po prostu spacerować nad morzem. Tradycja wypoczynkowa Połagi sięga XIX wieku i jest związana z Tyszkiewiczami. To oni rozwijali miejscowość jako elegancki kurort nad Bałtykiem. Do dziś jednym

z najważniejszych miejsc jest pałac Tyszkiewiczów, w którym mieści się Muzeum Bursztynu, otoczone parkiem botanicznym. Bursztyn to część lokalnej tożsamości. W ofercie znajdują się także bursztynowe zabiegi i łaźnie. Sercem Połagi jest ulica Jonasa Basanavičiausa - deptak, który Kmitienė nazywa jedną wielką restauracją. Ma około 900 metrów i prowadzi do drewnianego mola wychodzącego daleko w morze. Porównanie z Sopotem nasuwa się samo, ale miejscowi szybko zaznaczają różnicę: w Połdze wejście na molo jest bezpłatne o każdej porze roku.

Poługa przyjmuje około półtora miliona turystów rocznie, wliczając gości jednodniowych. Około 40 proc. stanowią turyści z zagranicy. Miasto ma własne lotnisko, choć dziś z Polski najłatwiej dostać się tam z przesiadką, przez Rygę. Litewska branża turystyczna liczy, że z czasem pojawią się bezpośrednie połączenia. Przez lata Poługa kojarzyła się głównie z latem. Teraz mocniej rozwija turystykę zdrowotną i rehabilitacyjną. Według informacji przekazanych przez Centrum Informacji Turystycznej działa tu jedenaście placówek oferujących usługi uzdrowiskowe i rehabilitacyjne. Jednym z większych obiektów jest Gradiali Wellness and SPA, położony w spokojniejszej części kurortu, niedaleko plaży i lasu sosnowego. Latem Poługa jest dla tych, którzy chcą morza, deptaka, koncertów, restauracji, rowerów i plaży. Po sezonie może być dla tych, którzy szukają rehabilitacji, jodu, spacerów i odpoczynku bez tłumów.

Przy Połdze warto dodać Neringę; to kurort na Mierzei Kuroniskiej. Neringa jest nietypowym miastem-kurortem, bo składa się z kilku dawnych osad rybackich: Juodkrantė, Pervalka, Preila i Nida. Najbardziej znana jest Nida, położona na południu litewskiej części Mierzei Kuroniskiej. To zupełnie inna Litwa niż Poługa, bardziej krajobrazowa. Wydmy, lasy sosnowe, stare rybackie wioski. Żeby tam dotrzeć, trzeba przepłynąć się promem z okolic Kłajpedy, a potem jechać przez lasy i wydmy. Neringa i Nida są raczej dla tych, którzy chcą zobaczyć jedno z najpiękniejszych miejsc nad Bałtykiem i nie potrzebują do szczęścia rozrywkowego zaplecza.

Litewskie kurorty idą razem

Kristina Citvarienė, dyrektorka wykonawcza Litewskiego Stowarzyszenia Kurortów, nie kryje, że Polska jest dla litewskich uzdrowisk rynkiem strategicznym. Litwini uczestniczą w wydarzeniach turystycznych w Polsce, takich jak Piknik nad Odrą w Szczecinie, promują swoje kurorty w Łodzi, Ełku czy Gołdapi, współpracują z polską branżą i środowiskiem balneologicznym. Litewskie kurorty zrozumiały, że

pojedyncze, mniejsze miejscowości mogą być w Polsce słabo rozpoznawalne. Druskieniki jeszcze tak, Wilno oczywiście, Poługa trochę. Ale Birsztany, Neringa czy inne uzdrowiska nie mają tej rozpoznawalności. Dlatego idą pod jedną marką: litewskie kurorty zdrowotne. Citvarienė podkreśla, że litewskie uzdrowiska są projektowane tak, by człowiek od razu wchodził w tryb odpoczynku. Stąd parki, ścieżki, pijalnie, sanatoria, rehabilitacja, hotele, przyroda, czyste powietrze, wody mineralne, borowina. Lina Nosevic, dyrektorka Stowarzyszenia Sanatoriów i Placówek Rehabilitacyjnych Litwy, przedstawiła podczas forum dane pokazujące skalę branży. W organizacji jest 17 hoteli spa i medycznych, wszystkie mają licencję na kurację. W ubiegłym roku udzieliły łącznie około 1,5 mln noclegów i wygenerowały 148 mln euro przychodu. W pakiecie medycznym pacjent może mieć nawet pięć zabiegów dziennie, a zabiegi wykonywane są przez cały rok. Z polskiej perspektywy najważniejsze są cztery argumenty. Po pierwsze, odległość. Nie musimy wyprawiać się na drugi koniec Europy. Po drugie, w wielu obiektach porozumie się po polsku. Po trzecie, są naturalne zasoby i długa tradycja leczenia uzdrowiskowego. Po czwarte, cena idzie w parze z jakością, zwłaszcza przy dłuższych pobytach rehabilitacyjnych.

Można dopisać jeszcze dwa argumenty, które od razu rzuciły się w oczy podczas podróży po Litwie. Pierwszy to czystość krajobrazu. Litwa nie męczy oczu reklamami, nie zaślania dróg billboardami, plakaty nie krzyczą z każdego płotu. Drugi to kuchnia: cepeliny, kołduny, bliny, kiszka ziemniaczana, chłodniki, szczawiowa to jest wszystko to, co Polacy rozpoznają, lubią i chętnie jedzą. A przy tym podane lepiej, niż można się spodziewać po zwykłej turystycznej knajpie. Litwa nie musi udawać Szwajcarii. Jej kurorty mają inny temperament. Druskieniki oferują historię, Piłsudskiego, wodę mineralną, borowinę i nowoczesną infrastrukturę. Birsztany to kameralność, balneologia, Niemen i ludzki rytm rehabilitacji. Poługa obok zdrowotnej oferty to Bałtyk, bursztyn i molo lepsze niż w Sopocie (bo darmowe). Neringa oferuje wydmy, lasy, ciszę i krajobraz, którego nie da się pomylić z żadnym innym.

Litewskie uzdrowiska są nowoczesne wcale nie dlatego, że wymyśliły nowe zabiegi, ale właśnie dlatego, że przypominają o czymś, co przecież dobrze znamy: że zdrowie to dobry sen, ruch, kąpiele wodne, czyste powietrze, profesjonalne zabiegi i relaksacyjne spacer. No i obiady, które smakują jak te u babci.

ŚLAD WSKAZAŁ JASNOWIDZ

Pięć miesięcy od zamordowania 11-letniej Danusi na miejscu zbrodni znaleziono telefon dziewczynki. Tam, gdzie wcześniej szukała policja

Alina Gierak

Bliscy ofiar zbrodni, ludzie zaginionych, osoby znajdujące się w sytuacjach krytycznych lub szukające odpowiedzi na pytania dotyczące przyszłości, w desperacji, poczuciu, że nie wszystko zostało wyjaśnione, zwracają się o pomoc do jasnowidza. Tak zrobili rodzice 11-letniej Danusi, którą zamordowano pięć miesięcy temu w Jeleniej Górze. Poprosili jasnowidza Krzysztofa Jackowskiego o pomoc w namierzeniu telefonu dziewczynki. I znaleźli go. W miejscu, którym wskazał Jackowski.

Jasnowidz: Odnalazłem telefon ofiary – Danusi z Jeleniej Góry

Krzysztof Jackowski, najśłynniejszy polski jasnowidz, w swoich mediach społecznościowych kilka dni temu zamieścił film, w którym opowiada o odnalezieniu telefonu 11-letniej ofiary, Danusi z Jeleniej Góry. Cytuje także list, który dostał od mamy dziewczynki.

„Rodzina Danusi zwróciła się do mnie, bo nie można było odnaleźć telefonu 11-latk. Policja wcześniej przeszukała dokładnie cały teren” - relacjonuje jasnowidz.

Jackowski opisuje, że poczuł, iż sprawczyni miała ten telefon w ręku.

„Potem długo nie miała do niego dostępu, bo odrzuciła go przed siebie, do wody. Stało się to między 20. a 40. metrem od miejsca zdarzenia. Telefon jest w wodzie” - przekazał rodzinie jasnowidz.

„Mamusiu. Jesteś niezłomna. I za to cię podziwiam”

Jackowski opowiada, że wkrótce potem otrzymał od mamy dziewczynki list z podziękowaniami. Kobieta opisuje, jak wypożyczyli z mężem wykrywacz metali i szukali telefonu córki nad strumykiem oraz w wodzie.

- Mąż odnalazł telefon w warstwie mułu. 20 metrów od miejsca zabójstwa i 40 metrów od kładki nad strumykiem, przy której Danusia skręcała do domu - opisywała mama 11-latk.

Dodała jeszcze wzruszające wspomnienie. Dzień

przed tragedią Danusia powiedziała jej: „jesteś niezłomna. I za to cię podziwiam”.

Policja: szukaliśmy telefonu przez kilka dni

Odnaleziony w mule przy strumyku, przy miejscu śmierci dziewczynki, telefon komórkowy jej rodzice przekazali policji.

Edyta Bagrowska z jeleniogórskiej policji potwierdza, że w niedzielę (19 kwietnia) mama Danusi przyniosła na komendę telefon córki. Nic nie mówiła o okolicznościach jego odnalezienia.

- Tuż po tragedii przeczesaliśmy dokładnie cały teren. Policjanci powrócili tam jeszcze kilka razy. Szukali telefonu Danusi w wodzie oraz koło strumyka. To były bardzo dokładne poszukiwania - podkreśla Edyta Bagrowska.

- Telefon został zabezpieczony i przekazany do Sądu Rodzinnego celem powołania biegłego. Specjalista określi, czy uda się odzyskać dane zawarte w urządzeniu - dodaje policjantka.

Jasnowidz ostatnią deską ratunku

Mundurowi, gdy nic nie znaleźli, ostatecznie odpuścili sprawę zaginionego telefonu. Rodzice Danusi nie dali za wygraną. Kontynuowali poszukiwania i sięgali po różne metody. Zwrócili się, jak wiele innych osób dotkniętych tragedią, do jasnowidza.

Krzysztof Jackowski jest najśłynniejszym polskim jasnowidzem. Zawsze podkreśla, że największą satysfakcją są dla niego podziękowania za pomoc. Na swojej stronie internetowej publikuje ich wiele jako „dowody jasnowidzenia”. Najczęściej proszony jest o pomoc w odnalezieniu osób zaginionych. Ludzie, którzy zgłaszają się do jasnowidza z Człuchowa, czują, że są już pod ścianą. Jasnowidz jest dla nich, po policji i prywatnych detektywach, ostatnią deską ratunku.

- Policja nie zwraca się do jasnowidzów po pomoc. Ale rodziny ofiar, bliskich osób zaginionych, często to czynią - przyznaje Edyta Bagrowska.



Krzysztof Jackowski wskazał, że telefon znajduje się 20-40 metrów od miejsca tragedii. Ojciec Danusi, idąc za tymi wskazówkami, odnalazł telefon w mule przy strumyku



Marsz Ciszy upamiętniał Danusię

Profesor sceptyczny

Prof. Tadeusz Tomaszewski, kierownik Katedry Kryminalistyki Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, w wywiadzie dla „Polityki” sceptycznie odnosi się do korzystania z usług jasnowidza. „(...) jasnowidztwo nie jest dyscypliną naukową, nie można przyjmować opartych na nim opinii (...). Nie ma możliwości rozwiązania wszystkich spraw kryminalnych. A ponieważ chce się uzyskać jakieś informacje, to korzysta się z „ostatniej deski ratunku” (...). Głównym in-

spiratorem wprowadzania jasnowidzów do spraw dotyczących zaginięć czy podejrzeń zabójstwa, gdy nie można znaleźć zwłok, są osoby bliskie, rodzina” - czytamy w rozmowie profesora Tomaszewskiego z Violetta Krasnowską w „Polityce”.

Tragedia w Jeleniej Górze

11-letnia Danusia, uczennica Szkoły Podstawowej nr 10 w Jeleniej Górze, została zamordowana 15 grudnia 2025 roku. Ciało dziewczynki odnaleziono nad potokiem w po-

blizu domów jednorodzinnych i szkoły, przy ścieżce, którą dzieci wracały do domów.

Danusię zamordowała 12-latk, uczennica tej samej szkoły.

Ewa Węglarowicz-Makowska, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Jeleniej Górze, zawiadamiając pięć miesięcy temu o tej wstrząsającej tragedii, podała, że na ciele 11-latk były rany spowodowane ostrym narzędziem. Śledczy zabezpieczyli na miejscu zbrodni nóż - „finkę”, którym zadano ciosy.

17 grudnia 2025 roku sędzia Agnieszka Makowska, wiceprezes Sądu Rejonowego w Jeleniej Górze poinformowała, że sprawa zabójstwa Danusi została utajniona. Wiadomo jedynie, że odbyło się posiedzenie sądu z udziałem 12-letniej sprawczyni.

- Sąd zastosował wobec nieletniej środek tymczasowy - informowała sędzia. Nie wyjaśniła, o jaki środek tymczasowy chodzi.

Marsz Ciszy, debata o bezpieczeństwie dzieci, spotkania z rodzicami

Jeleniogórzanie nie zapomnieli o tej tragedii. Starają się, by słowa mamy dziewczynki

„Ta śmierć nie może być po nic”, inspirowały do działania na rzecz bezpieczeństwa dzieci i młodzieży. Rodzice, pedagodzy, psychiatrzy zawiązali w tym celu grupę Kolektyw Dobro Dzieci.

- Chcemy, aby każdy głos dzieci i nastolatków został usłyszany, a ich bezpieczeństwo stało się priorytetem dla dorosłych i wszystkich instytucji publicznych - mówili członkowie Kolektywu o swojej inicjatywie.

W styczniu zorganizowali w Jeleniej Górze Marsz Ciszy upamiętniający Danusię. Wśród haseł, które wyrażały cele i powody zorganizowania marszu, na pierwszy plan wysuwało się jedno „Ratunku”. To było ostatnie słowo Danusi. Portret dziewczynki w mundurku harcerskim nieśli członkowie i przyjaciele jej rodziny. Oni także szli na początek marszu, wspierając się wzajemnie i dodając otuchy. Wzięły w nim udział setki osób. Nie tylko z Jeleniej Góry. Wiele z nich przyszło z dziećmi. Wszyscy podkreślali, że przyjechali specjalnie, by pokazać, że łączą się w bólu z rodzicami dziewczynki i by nie musieli się bać o swoje dzieci.

Kolejnym działaniem Kolektywu i samorządu jeleniogórskiego była debata o bezpieczeństwie dzieci i młodzieży. Spotkanie z ekspertami uzmysłowiło zgromadzonym, że nie mają błędnego pojęcia o słownictwie, zainteresowaniach młodego pokolenia, kim są ich idole i co robią w sieci.

Ta tematyka jest kontynuowana na spotkaniach, warsztatach i wykładach organizowanych przez Kolektyw. Najbliższy zaplanowano na 11 maja o godz. 18.00 w Teatrze im. Cypriana Kamila Norwida w Jeleniej Górze. Łukasz Gierak, prezes Fundacji Hejt OFF, wykładowca akademicki, trener edukacyjny, na spotkaniu „TikTokowi patoinfluencerzy czy patointeligencja?” opowie, kim są idole młodzieży i nastolatków. Spotkanie to pomoże zrozumieć zarówno pozytywne aspekty, jak i zagrożenia czyhające na dzieci w sieci, takie jak cyberprzemoc czy presja związana z rywalizacją.

„POSZUKIWANY, POSZUKIWANA”. MARYSIA KONTRA PRL

Schemat pod hasłem „Chłop przebrał się za babę” z różnymi efektami funkcjonuje w historii komedii od czasu narodzin kina. Nic zatem dziwnego, że po pomysł sięgnął także specjalista od absurdów PRL-u – Stanisław Bareja. Minęły 53 lata od premiery jednego z jego najbardziej rozpoznawalnych i lubianych filmów, czyli „Poszukiwany, poszukiwana”

Wojciech Obremski

Któż nie zna historii Stanisława Marii Rochowicza, pracownika muzeum, który, niesłusznie oskarżony o kradzież obrazu, musi ukrywać się w kobiecym przebraniu jako pomoc domowa, póki nie namaluje kopii zaginionego płótna?

Początkowo film miał nosić tytuł „Kariera Stanisława Marii R.”, zaś jego twórcy mieli wątpliwości, czy scenariusz nadaje się na ekran – myśleli bardziej o scenie teatralnej. A skoro przy scenariuszu jesteśmy, został on napisany przez Bareję (który, jak stwierdził, miał dość błahych i słodkich filmów w stylu „Żony dla Australijczyka”) wraz z Jackiem Fedorowiczem, zaś pomysły na niego podsunęła reżyserowi jego żona Hanna Kotkowska-Bareja. Otóż pracując jako historyk sztuki w Muzeum Narodowym, usłyszała historię rzekomego zaginięcia rzeźby dłuta Alfonsa Karnego. Artysta zabrał dzieło ze sobą, ale fakt ten nie został pokwitowany przez dyrektora, toteż rzeźbę uznawano za zaginioną, a podejrzanie padło na młodą pracownicę muzeum. Mało tego: w owym czasie państwo Barejowie zatrudniali niańki do opieki nad dziećmi, co również miało wpływ na filmową postać Marysi. Inspiracją miały być też zapiski pewnej kobiety, która – nie mogąc znaleźć po studiach pracy w swoim zawodzie – zatrudniła się jako pomoc domowa.

Za brzydka lub zbyt przysadzista

Pozostało pytanie, kto zagra głównego bohatera. Zdecydowano, że będzie to Janusz Gajos lub współscenarzysta filmu Jacek Fedorowicz, których ubrano w damskie stroje i umalowano. Efekt?

– Panie charakteryzatorki robiły co mogły, ale... To, co zobaczyłem w lustrze, było przerażające. Patrzyła na mnie stara, brzydka, mało brzydka: odrażająca kobieta lekkich obyczajów. Z czarnym zarostem, który podczas wszyst-

kich zabiegów zdążył wyrosnąć i przebić warstwę podkładu. Decyzja była oczywista – Marysię może grać każdy, tylko nie ja. (...) – wspominał Jacek Fedorowicz. Podziękowano także Januszowi Gajosowi, który miał odznaczyć się zbyt przysadzistą sylwetką. – Rzec można, że porażkę musieliśmy wraz z Gajosem przysiadając z odpowiednią pokorą – dodał Jacek Fedorowicz. Postawiono więc na Wojciecha Pokorę.

– Nie chciałem grać tej roli. Miałem świeżo w pamięci Lemmona i Curtisa z „Pół żartem, pół serio”. Byłem pewien, że lepiej już nie można zagrać i nie trzeba. Ale Staszek Bareja nie dawał za wygraną. Wydzwaniał i przychodził do nas dniami i nocami. Nie mówiąc o reżyserze, scenografie, operatorze, którzy mnie nachodzili i mówili: „Wojtek, tylko ty, tylko ty”. W końcu moja żona powiedziała: „Weź tę rolę, bo inaczej nie dadzą nam spokoju!” – opowiadał po latach Wojciech Pokora. Mimo zgody, aktor za nic w świecie nie chciał zakładać damskich ubrań. Któryś z filmowców wpadł jednak na pomysł, by Pokora grał odziany w rzeczy swojej żony, na co ten przystał. Mimo to miał żałować swojej decyzji jeszcze przez długie lata. – Posiadając obecną wiedzę, na pewno nie przyjąłbym tej roli. Zapisała się ona w pamięci Polaków, ale i sprawiła, że nie mogłem się uwolnić od łatki Marysi. Wielokrotnie ludzie krzyżeli za mną na ulicy: „Te, Maryśka!” albo wołali na plaży: „Marysiu, zupa ci kipi!”. To była etykieta, której nie mogłem się pozbyć. I zresztą nigdy na dobre jej się nie pozbędę. Niechaj będzie i tak – mówił aktor w rozmowie z Krzysztofem Pyzią w książce „Z Pokorą przez życie”. Pokora wspominał również, że przez kilka następnych lat dzwonił do niego różni ludzie z propozycją zatrudnienia go w charakterze pomocy domowej, przez co musiał trzykrotnie zmieniać numer telefonu. – Nieustannie też dzwonił do-



Prócz głównego komicznego wątku, jakim były losy Stanisława vel Marysi, film dał okazję Barei ukazania przedstawicieli różnych warstw społecznych dekady Gierka

mofon; jak ktoś wracał z nocnej zabawy i przechodził obok naszego domu, to czułem się w obowiązku zadzwonić i zapytać o Marysię. Już nawet nie chcę mówić, co było na ulicy – opowiadał Wojciech Pokora.

Ręka Tyma, spalone kotlety i donos

Rolę żony Rochowicza początkowo zaproponowano Stanisławie Celińskiej, która jednak odmówiła, gdyż obawiała się, iż przez nie najlepszą renowę Barei, jaka wówczas go otaczała, mogłaby nie dostać w przyszłości ról u takich reżyserów, jak Kazimierz Kutz (to on ukuł niesławny termin „bareizm”, oznaczający twórczość o niskiej wartości) czy Krzysztof

Zanussi. Panią Rochowiczową zagrała więc Jolanta Bohdal, a prócz niej na ekranach widzimy całą plejadę ówczesnych gwiazd rodzimego ekranu. Są to między innymi: Jerzy Dobrowolski, Bohdan Łazuka, Mieczysław Czechowicz, Wiesław Gołas, Jan Kobuszewski i wielu innych. Mało kto wie, że w filmie wystąpił też Stanisław Tym, a raczej... jego ręka. Jak do tego doszło? Otóż Tym odwiedził pewnego razu na planie Jerzego Dobrowolskiego, wcielającego się w „wiecznego” dyrektora. Jako że aktor chciał zrekompensować sobie koszty dojazdu, zapytał Bareję, czy nie znalazłaby się dla niego jakaś mała rólka, za którą dostałby dniówkę. Re-

żyser zgodził się i obsadził go w roli osoby, która w czołówce filmu stempluje obraz. Widać jednak tylko dłoń Tyma.

W scenie, w której Marysia smaży kotlety bez tłuszczu, Pokora rzeczywiście przypalił mięso. Zdenerwowało to Bareję, który oznajmił, że pokaże, jak to się robi, po czym... spalił kotlety na węgiel. Zaś podczas kręcenia sceny, w której Marysia nokautuje inżyniera Rawicza, przez co ten spada ze schodów, kierownik produkcji Jan Szymański stwierdził, że ze względów oszczędnościowych zrezygnuje z kaskadera, osobiście go zastępując. W efekcie został poważnie kontuzjowany. A pamiętny moment, w którym bohater(ka) próbuje wyciągnąć z wody wielkiego psa swoich pracodawców, Pokora przypłacił pogryzieniem przez zwierzę oraz... zniszczeniem bielizny i sukienki.

Niektóre sceny powstawały w mieszkaniu państwa Barejów. Pewnego razu do drzwi zapukali kontrolerzy skarbowi, twierdząc, iż dostali anonimowy donos, jakoby reżyser remontował sobie mieszkanie na koszt filmu. Owszem, prace remontowe były, jednak w innej części budynku, a Bareja miał na wszystko faktury. Kontrolerzy więc przeprosili, a anonimowa donosicielka przestała być anonimowa – okazała się nią sąsiadka, a zdradził ją specyficzny krój czcionki maszyny do pisania, na którym napisała donos.

Prócz głównego komicznego wątku, jakim były losy Stanisława vel Marysi, film dał okazję Barei ukazania przedstawicieli różnych warstw społecznych dekady Gierka. Był to pierwszy film reżysera, w którym obśmiewał peerelowską codzienność, co wkrótce stało się jego znakiem rozpoznawczym. Mamy tu nierozgarniętego dyrektora („Mój mąż? Mąż jest z zawodu dyrektorem!”), produkującego pokątnie alkohol profesora, badającego „zawartość cukru w cukrze” czy nowobogackich prywaciarzy i ich rozpierzchniętego do granic synalka.

Zero tolerancji dla „wyszydzenia władzy”

Film powstawał głównie w Warszawie, jednak początkowa scena dziejąca się w Muzeum Narodowym została nakręcona w pałacu w Kozłowie, w województwie lubelskim. Zaś kamienica, w której mieszkali państwo Rochowiczowie, mieściła się w stolicy przy ulicy Grzybowskiej 46. „Mieściła się”, gdyż w 2025 roku ją wyburzono, ku niezadowoleniu wielu fanów filmu. A co do reżysera, jego także widzimy na ekranie; Bareja wcielił się bowiem w męzczyznę, któremu pod koniec filmu główny bohater przejeżdża autem po stopie.

Premiera filmu „Poszukiwany, poszukiwana” odbyła się 22 kwietnia 1973 roku. No i się zaczęło. – Po kolaudacji ówczesny szef kinematografii radził mi, żebym poszukał sobie zajęcia w telewizji, może w krótkim metrażu – wspominał w 1981 roku w wywiadzie dla tygodnika „Film” Stanisław Bareja.

Z kolei pisarz Jerzy Jesionowski oskarżył Bareję o „humor niskich lotów i nadmierne wykorzystywanie stereotypów”, podkreślając, że nie będzie tolerancji dla wyszydzenia władzy w twórczości filmowej. Inne recenzje były w podobnym tonie – w zasadzie tylko Ewa Nurczyńska z łódzkiego tygodnika „Odgłosy” dopatrzyła się pozytywów. „W ostatnim epizodzie spotykają się Jerzy Dobrowolski z Wojciechem Pokorą. No i stało się: za ten, tym razem i scenariuszowy i aktorski popis, można darować i resztę” – pisała dziennikarka.

Dla odmiany obraz doceniono za oceanem: w 1974 roku został wyróżniony podczas festiwalu Queens Council of the Arts w Nowym Jorku. Zresztą i nad Wisłą radził sobie znakomicie, a kina pękały w szwach.

„Poszukiwany, poszukiwana” pozostaje jedną z najbardziej kultowych polskich komedii tamtych lat i mimo pięciu dekad na karku nie starzeje się. Wręcz przeciwnie: kolejne emisje zapewniają mu nowe pokolenia fanów.

Madonna z odsłoniętym uchem słynąca cudami

Na niedużym wzniesieniu, we wsi Łęgowo (woj. pomorskie), stoi pocysterski kościół z drewnianą dzwonnica pełen niezwykłych zabytków, takich jak obraz Matki Bożej Łęgowskiej

Grażyna Antoniewicz

Na obrzeżach szaty Maryi namalowane są przedmioty związane z Męką Pańską: krzyż, obcęgi, gwoździe, drabina, hizop, trzcina z gąbką, włócznia, dłoń (lub rękawica), miecz, rzymskie flagrum - bicz, korona cierniowa, tunika, kości do gry. Widnieje pod nim napis: „Effigies B. M. V. Rokitnensis Miraculis clara”, (Obraz Matki Bożej z Rokitna słynący cudami)...

Znaki Bożej męki

Te wszystkie elementy, odnoszą się do Ewangelii św. Jana. Hizop to inaczej trzcina z gąbką, nasączoną octem (kwaśnym winem), którą podano Jezusowi na krzyżu, jest to jeden z ostatnich elementów Męki Pańskiej opisanych w Ewangeliach. Polska (łac. posca), czyli kwaśne wino zmieszane z wodą, była powszechnym tanim napojem rzymskich żołnierzy, a nie czystym octem. Był to gest, który mógł mieć podwójne znaczenie: akt miłosierdzia mający ugasić pragnienie i zniezculić ból, a jednocześnie było to wypełnienie prorocत्व biblijnych.

- Miecz na szacie jest symbolem porywczosci i niezrozumieniem misji Jezusa - opowiada proboszcz ksiądz Piotr Libiszewski. - Jezus mówi do świętego Piotra „Kto mieczem wojuje od miecza ginie”. W ogrodzie oliwnym święty Piotr wziął miecz i odciął Malchusowi ucho. Jezus sprawił cud i przykleił je Malchusowi. Dłoń lub rękawica nie jest związana z wprost Golgotą, ale wiąże się z pojmaniem Jezusa. Gdy Jezus stoi przed Kajfaszem zostaje uderzony w twarz przez sługę. Ta dłoń to symbol tego uderzenia.

A dlaczego są tu kości do gry - zastanawiamy się.

- Ponieważ skazanych wieszano nago, więc także Jezus został rozebrany - wyjaśnia ksiądz proboszcz. - Zwykle mówi się, że był biedakiem. Tymczasem był on mistrzem - rabbin, dlatego chodził ubrany jak mistrz, nie jak żebrak. Miał elegancką tunikę, tak dobrą, że każdy z żołnierzy, chciał ją mieć, więc zagrali o nią w kości.

Krzyż to znak śmierci Jezusa. Krzyż to rzymska „szubienica”, na której skazaniec się dusił. Drabina była wykorzystywana podczas egzekucji, żeby coś przybić, czy podwiązać sznury. Jezus był przybity do krzyżowej belki leżącej na ziemi a następn-

ie podniesiony do pionowej belki. Jednak, żeby się nie rozrwały Jego dłonie, to Jego ręce zostały tymczasowo przywiązane do belki. Drabina służyła również do umieszczenia tytułu winy: INRI - Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum, co oznacza „Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski”. Na szacie Matki Bożej znajdziemy również słup przy którym Jezus był biczowany. Jest też rzymski flagrum - czyli rodzaj bicia.

Ornamenty ołtarza głównego nad mensą przedsoborową korespondują z obrazem Matki Bożej gdyż są na nim: słup, drabina, korona cierniowa, krzyż i włócznia podtrzymywane przez anioły.

Na zamianę ze św. Mikołajem

Łęgowska świątynia posiada barokowy wystrój. W ołtarzu głównym z przełomu XVII i XVIII wieku umieszczono obraz patrona świątyni, św. Mikołaja prezentowany na przemian z Matką Bożą.

Od 1741 roku Obraz Matki Bożej był na najwyższej kondygnacji ołtarza głównego. W tym miejscu przetrwał różne zawieruchy dziejowe. W związku z nadaniem kościołowi w Łęgowie statusu sanktuarium (15.01.2008), został przemieszczony na centralną kondygnację ołtarza. Do tej pory w tym miejscu był eksponowany obraz Jezusa Chrystusa (apoteoza Melchizedecha), zamiennie odkrywany na przemian z obrazem św. Mikołaja, patrona parafii.

Herby rodzin szlacheckich

Podczas Wielkiego Postu obraz Matki Bożej prezentowany jest z ukazaniem wszystkich insygniów Męki Pańskiej. Widoczne jest wtedy ucho, wysłuchujące ludzkie żale i prośby. W okresie paschalnym obraz przykryje riza (sukienka) podkreślająca wyjątkowy i odsświętny charakter tego czasu.

Oprócz ołtarza zabytkowe w świątyni są także elementy wyposażenia liturgicznego: relikwie Krzyża Świętego, trzy krucyfiksy z relikwiami św. Teresy od Dzieciątka Jezus, św. Brygidy i św. Piusa X czy księgi, z których najstarsze pochodzą z XVII wieku. Na stropie umieszczono trzy obrazy: „Wskrzeszenie Łazarza”, „Walka Jakuba z aniołem” i „Pokłon trzech króli”, są tam również herby fundatorów i kolejnych



Obraz Matka Boża z odkrytym uchem albo Matka Boża Słuchająca ma wymiary 40 x 54 cm i jest wykonany techniką olej na płótnie lnianym

właścicieli Łęgowa oraz portrety czterech ewangelistów. Cały strop okala fryz, są na nim herby przodków okolicznych rodzin szlacheckich, a także medaliony z cytatami z Pisma Świętego.

W krypcie w przedsionku znajduje się 19 trumien i 20 zmarłych. Obok kilku cystersów w krypcie, spoczywają również osoby świeckie.

- Jest wśród nich młoda matka z niemowlęciem oraz dziewczynka. Pozostali to dorośli obu płci. Został tu pochowany o. Iwo Roweder, opat cysterski, który osiadł w Łęgowie w połowie XVIII wieku. Jemu zawdzięczamy obecną architekturę świątyni i wyposażenie,

a także konfesjonały i ambonę. Powstały też wtedy plebania oraz niewielkiego szpitalik. To o. Iwo Roweder sprowadził do Łęgowa kopię obrazu Matki Bożej Rokitniańskiej w 1741 roku. Obraz ten jest jedną z wielu kopii malowidła Matki Bożej z Rokitna, które powstały na przełomie XVII i XVIII wieku w opactwie cysterskim w Bledzewie - mówi ksiądz proboszcz. - Jedną z kopii bledzewskich znajduje się w Licheniu Starym, druga jest w Łęgowie. Charakterystycznym motywem wspólnym dla wszystkich kopii jest Orzeł Biały na sercu Maryi oraz korona na głowie, podtrzymywana przez dwa anioły.

Tysiąc sanktuariów

- W Polsce znajduje się ponad tysiąc sanktuariów, z czego zdecydowana większość to miejsca kultu maryjnego. Dwa z nich swój duchowy i artystyczny rodowód wywodzą z Rokitna - niewielkiej miejscowości pod Gorzowem, słynącej z cudownego wizerunku Matki Bożej Cierpliwie Słuchającej - opowiada ksiądz proboszcz. - Matka Boża Rokitniańska, to XVI-wieczne renesansowe dzieło namalowane techniką olejną na lipowej desce przez nieznanego mistrza. Najbardziej charakterystycznym elementem obrazu jest wyraźnie odsłonięte ucho oraz Jej pochylona twarz. Madonna spr-

wia wrażenie osoby uważnie wsłuchanej.

Wieść o cudach

Kluczowy dla kultu rokitańskiego był rok 1670. To właśnie wtedy powołana komisja biskupia uroczystie ogłosiła dekret uznający wizerunek za słynący łaskami. Wieść o cudach dotarła do króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, który w obliczu zagrożenia ojczyzny postanowił zawierzyć losy królestwa tej właśnie Madonnie. W akcie patriotyzmu i pokory monarcha umieścił na piersiach Maryi Białego Orła, z napisem: „Da pacem Domine in diebus nostris” - Daj Panie pokój w dniach naszych, czyniąc z Niej duchową Strażniczkę polskiego narodu. Od tego momentu królewski orzeł na szacie Matki Bożej stał się symbolem suwerenności Rzeczypospolitej.

Matka Boża Łęgowska odziana jest w złotą szatę, zdobioną subtelnymi motywami roślinnymi. Wśród nich odnaleźć można proste polne kwiaty oraz formy przypominające gałązki oliwne - symbole czystości, pokoju i pojednania.

- Taka ornamentyka nawiązuje również do biblijnej symboliki ogrodu rajskiego, a razem podkreśla królewską godność Maryi, naśladując luksusowe tkaniny, takie jak ałtasy czy brokaty, którymi otaczali się władcy - dodaje Grzegorz Cwałiński, artysta plastyk i animator kultury. - Nicco mniej precyzyjnie odwzorowano szlachetne kamienie, przybierające formy kaboszonów i fasetów. Autor być może przywołał tu symbolikę granatowych szafirów, oznaczających niebiańską cnotę, oraz krwistych rubinów, będących odwołaniem do męki Pańskiej.

Głowę Madonny zdobi złota korona zamknięta (pałakowa), wysadzana malowanymi kamieniami, a w całości zwieńczona krzyżem. Zabieg ten nie tylko akcentuje poddanie władzy Bogu, lecz także podkreśla ważny tytuł Królowej Korony Polskiej. Twarz łęgowskiej Matki Bożej zastygła w modlitewnym skupieniu ma opuszczone powieki i wzrok skierowany ku dołowi, co nadają obliczu rys subtelnej melancholii. Nie szuka ona kontaktu z widzem; trwając w cichym, wewnętrznym zamyśleniu, zaprasza nas do świata kontemplacji w murach pocysterskiej świątyni.

FOT. GRZEGORZ CWAŁIŃSKI

TU JEST SUPER, TU PATRZYMYSY W GWIAZDY!

Konkurs plastyczny dla dzieci

Wiesz, kim był Mikołaj Kopernik? Znasz historię lotów na Księżyc? Lubisz rysować, malować, wycinać i wyklejać? W takim razie koniecznie spróbuj swoich sił w naszym kosmicznym konkursie. Do wygrania **karty podarunkowe o łącznej wartości 5 tysięcy złotych!**

Wspólnie z Urzędem Marszałkowskim Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu zapraszamy najmłodszych do udziału w konkursie plastycznym. Jego motywem przewodnim są przełomowe odkrycia i astronomiczne tradycje Kujaw i Pomorza. Właśnie dlatego pierwszy z tematów skupia się na postaci Mikołaja Kopernika, astronoma pochodzącego z naszego regionu. Jego życie i dokonania są świetnym materiałem na komiks!

W drugim temacie konkursowym nieprzypadkowo patrzymy na Księżyc. Po sukcesie misji Artemis II coraz częściej mówi się o ponownym lądowaniu, a w przyszłości nawet założeniu stałej bazy na powierzchni naszego satelity. Jak będzie wyglądać? Czy na Księżycu powstaną kiedyś ulice, szkoły oraz biblioteki? Może zmienią się też wioski i miasta na Ziemi, a wtedy na lody będziemy latać raketami? Właśnie widać miasta przyszłości możesz nam

pokazać za pomocą dowolnych narzędzi plastycznych – farb, kredek, pastelów, ale też wyklejanki, wycinanki z materiału, ozdóbek z cekinów oraz brokatu.

Wybrane prace nagrodzimy kartami do sieci sklepów Smyk o wartości: 250 zł (wyróżnienie), 500 zł (trzecie miejsce), 750 zł (drugie miejsce) oraz 1000 zł (pierwsze miejsce). Nagrody będą przyznawane w każdym z dwóch tematów. Spróbuj swoich sił!

KUJAWY
POMORZE



Zapraszam młode pasjonatki i młodych pasjonatów astronomii do udziału w konkursie plastycznym. Podejmijcie wyzwanie, odkrywajcie kosmiczną stronę naszego regionu i wygrywajcie cenne nagrody. Życzę Wam świetnej zabawy przy tworzeniu prac konkursowych. Powodzenia!

Piotr Całbecki

Marszałek Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

TEMATY KONKURSOWE DO WYBORU:

BAZA NA KSIĘŻYCU

– pokaż nam, jak Twoje miasto lub wieś mogłyby wyglądać w przyszłości

TECHNIKA DOWOLNA
FORMAT MAKS. A3

WSTRZYMAŁ SŁOŃCE, RUSZYŁ ZIEMIĘ

– stwórz komiks o Mikołaju Koperniku

TECHNIKA DOWOLNA
FORMAT MAKS. A3

DO WYGRANIA: **karty podarunkowe do sklepów sieci Smyk o wartości od 250 do 1000 złotych!**

WAŻNE! W konkursie mogą wziąć udział dzieci w wieku od 5 do 10 lat.

Regulamin i formularz zgłoszenia pod adresem: expressbydgoski.pl/tujestsuper

NA PRACE CZEKAMY
DO 28 MAJA 2026 ROKU

ORGANIZATOR



PARTNER



Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu



Rekordowa transmisja Łatwoganga zwiększyła liczbę rejestracji dawców szpiku

Marcin Koziestański
Warszawa

Transmisja prowadzona przez Łatwoganga, oprócz zebrania ponad 258 mln zł na rzecz podopiecznych Fundacji Cancer Fighters, spowodowała wzrost rejestracji potencjalnych dawców szpiku.

Dziewięciodniowa transmisja charytatywna prowadzona przez youtubera znanego jako Łatwogang, okazała się jednym z najbardziej przełomowych wydarzeń społecznych w polskim internecie. Jej efektem było nie tylko zebranie ponad 258 mln zł na rzecz podopiecznych Fundacji Cancer Fighters, ale również ustanowienie rekordu Guinnessa.

Równolegle prowadzona była intensywna kampania zachęcająca do rejestracji



Efektom transmisji było 258 mln na walkę z rakiem

w bazie potencjalnych dawców szpiku. Dzięki temu aż 45 tysięcy nowych osób zdecydowało się podjąć ten krok.

Skala rejestracji przerosła oczekiwania organizatorów i została określona jako bezprecedensowa. - To największa akcja rejestracyjna w historii fundacji, zwłaszcza

w tak krótkim czasie - mówiła TVN24 rzeczniczka Fundacji DKMS Magdalena Przysługowska.

Szczególnie dynamiczny był jeden z dni transmisji. - W samą niedzielę, do północy, odnotowaliśmy 25 tysięcy zamówionych pakietów. To gigantyczna akcja i jesteśmy za to ogromnie wdzięczni - wyjaśniła rzeczniczka fundacji.

W polskiej bazie danych DKMS zarejestrowanych jest już ponad 2 miliony 100 tys. osób. - To są te osoby, które podjęły świadomą decyzję, że są w gotowości, gdyby w potrzebie znalazł się ich bliźniak genetyczny - tłumaczyła na antenie Polskiego Radia Justyna Rogowiec z Fundacji DKMS. Polska baza jest trzecią co do wielkości bazą w Europie i piątą na świecie.

Express
BYDGOSKI
www.express.bydgoski.pl

Redaktor naczelna **Alicja Polewska**
Prezes Makroregionu **Marek Ciesielski**
Dyrektor biura reklamy oddziału **Agnieszka Perlińska**
Dyrektor marketingu oddziału **Katarzyna Jabłońska**

Redakcja, ul. Zamoyskiego 2, 85-063 Bydgoszcz
tel. 52 32 63 100
redakcja@express.bydgoski.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.expressbydgoski.pl/tresci w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

REKLAMA

0011507899

ART-MED

SKLEP MEDYCZNY

ZAPRASZAMY

- sprzęt stomijny:
Convatec, Coloplast, Dansac,
Salts, Welland
- sprzęt ortopedyczny:
 - ▶ wózki ▶ balkoniki
 - ▶ kule ▶ orzezy
 - ▶ peruki ▶ protezy piersi
 - ▶ pieluchomajtki ▶ materace
 - ▶ wyroby przeciwwylakowe
 - ▶ poduszki ▶ ciśnieniomierze
 - ▶ inhalatory



MOŻLIWY DOWÓZ DO DOMU KLIENTA

BYDGOSZCZ,	ul. Słowackiego 1, (wejście od Gdańskiej)	tel. 52 322 01 13
TORUŃ,	ul. Uniwersytecka 17/13,	tel. 56 611 99 40
TORUŃ,	ul. Uniwersytecka 17/6,	tel. 56 611 99 82
WŁOCLAWEK,	ul. Kilińskiego 7,	tel. 54 231 19 81

POSIADAMY UMOWĘ REFUNDACYJNĄ Z



**To jest wyrób medyczny.
Używaj go zgodnie z instrukcją lub etykietą.**

REKLAMA

0011515297



SPXFLOW®

An ITT Company

Pracuj w miejscu, które daje pewność jutra

Mamy pracę dla:

OPERATORÓW CNC, TOKARZY, SZLIFIERZY, SPAWACZY, MONTERÓW

APLIKUJ

rekrutacja@spxflow.com
+48 570 402 921 | +48 570 402 931



DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

WYNAJMĘ pokoje różnej wielkości, osiedle Piaski tel.789 789 776

Handlowe

INNE

ANTYK krajalnice Kupię 576-948-827

Praca

ZATRUDNIĘ

OCHRONA z gr. niepełnosprawności Włocławek tel. 668 085 925

SERWIS sprząający Bydgoszcz tel. 604 630 556

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALARSKIE solidnie gwarancja tel. 502117515

ODNAWIANIE nagrobków, litery, podnoszenie, czyszczenie, nowe pomniki www.nagrobkus.pl 794647139

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien, drzwi tel. 602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY. Producent „GARDA” tel. 52/372-04-04

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOPROMOCJA

Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń, bez wychodzenia z domu

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

REKLAMA

0011503189



Zielen Miejska
Zakład Pogrzebowy

UL. CZARTORYSKIEGO 13
24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

0011517460

„Ludzie żyją tak długo, jak długo inni pielęgnują pamięć o nich, myśląc i kochając”

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 28 kwietnia 2026 roku odeszła Ukochana Babcia, Ciocia, Przyjaciółka i Nauczycielka I LO

ś†p **Bożena Hrycenko**

lat 87

Msza św. pogrzebowa poprzedzona modlitwą różańcową odbędzie się w poniedziałek 4 maja 2026 roku o godz. 10:30 w kościele pw. św. Krzyża w Bydgoszczy.

Po mszy św. odprowadzimy śp. Bożenę na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu przy ul. Artyleryjskiej w Bydgoszczy

Pograżeni w smutku *Wnuk i Rodzina*

„Nie umiera ten, kto żyje w naszych sercach”

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 28 kwietnia 2026 r. zasnął w Bogu Nasz Kochany Ojczym/Tata, Dziadek oraz Mąż

ś†p **Kazimierz Adamski**

lat 78

Ceremonia pogrzebowa wraz z mszą św. odbędzie się dnia 4 maja 2026 r. (poniedziałek) o godzinie 10:00 (rózaniec 9:30) na cmentarzu parafialnym Serca Jezus przy ul. Ludwikowo w Bydgoszczy.

W smutku pogrążone

Anna i Małgorzata

0011517484

0011517478

Z sercem pełnym bólu i smutku zawiadamiamy, że dnia 28.04.2026 r. zasnął w Bogu nasz kochany Mąż, Tata, Teść, Dziadek, Pradziadek, Brat i Szwagier

ś†p **Janusz Ludka**

lat 80

Msza św. żałobna odprawiona zostanie dnia 02.05.2026 r. o godz. 12.00 w kościele Chrystusa Króla przy ul. Lotników 1. Pogrzeb odbędzie się po mszy św. na cmentarzu parafialnym Św. Trójcy przy ul. Stawowej.

Prosimy o nieskładanie kondolencji.

W żalu pogrążona

Rodzina

0011517286

Z żalem zawiadamiamy, że dnia 28 kwietnia 2026 r. zmarł w wieku 92 lat

ś†p **Marian Skotarski**

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w piątek, 1 maja 2026 r. o godz. 12:00 na cmentarzu parafii Św. Stanisława B. i M. przy ul. Kaplicznej – Siernieczek w Bydgoszczy.

Pograżona w smutku

Rodzina

0011517208

Koleżance
Beacie Pawlaczyk

składamy wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Taty



Łączymy się w bólu i żałobie.

Koleżanki i koledzy z firmy Genderka

0310733256

AUTOPROMOCJA

**Zleć nekrologi,
ogłoszenia drobne,
życzenia**

Biuro ogłoszeń Expressu Bydgoskiego:

Bydgoszcz, czynne: pn.-pt. 8-16,

ul. Zamoyskiego 2

tel. 519 503 513,

e-mail: magdalena.welka@polskapress.pl

Final Pucharu Polski. Górnik i Raków zagrają o marzenia

Rafał Musioł
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Po raz pierwszy od 1993 roku, a dziewięty w ogóle, decydująca batalia o Puchar Polski będzie wewnętrzną sprawą zespołów z województwa śląskiego.

W sobotę Warszawa przeżyje najazd kibiców ze Śląska. Fani Górnik Zabrze na PGE Stadionie Narodowym stanowią będą zdecydowaną większość, ale miłośnicy Rakowa Częstochowa też zapowiadają przybycie w solidnej sile ok. 15.000 osób. Wszystko za sprawą meczu finałowego STS Pucharu Polski.

Doświadczenie Rakowa

Dla Częstochowian to nie nowina. W ostatnich pięciu latach brali udział w podobnym wydarzeniu trzykrotnie, dwa razy świętując triumf swoich piłkarzy. W przypadku Górnik rzecz ma się zgoła inaczej - od ostatniego występu w finale mija w tym roku ćwierć wieku, a od zwycięstwa ponad dwa razy więcej: 54 lata! Obecny sezon może mieć dla Zabrzean wymiar historyczny - oprócz finału PP wciąż walczą o mistrzostwo kraju, a Lukas Podolski jeszcze przed końcem rozgrywek ligowych ma zostać właścicielem klubu.

Raków w Warszawie wystąpi bez kontuzjowanych Karola Struskiego i Michaela Ameyawa, w Górniku trwa wyścig z czasem Erika Janzy, ale szanse na grę kapitana zespołu są niewielkie, chociaż jego obecność zapowiadana jest na piątkowej oficjalnej przedmeczowej konferencji prasowej. Towarzyszyć mu będzie zresztą Lukas Podolski, który ostatnio pełni rolę



FOT. KARINA TROJOK

W dwóch meczach PKO BP Ekstraklasy w tym sezonie Górnik był lepszy od Rakowa. Jak będzie w finale PP?

zmiennika, coraz rzadziej zresztą wchodzącego na murawę. Gdyby jednak pojawił się w wielkim finale, a jego zespół sięgnął po Puchar Polski, byłoby to wydarzenie wyjątkowo symboliczne.

Szanse na zwycięstwo są niemal równe - bukmacherzy minimalnie wyżej stawiają Raków, ale jest to różnica niemal niezauważalna. Nie można jednak zapomnieć, że w PKO BP Ekstraklasie oba mecze, zarówno domowy, jak i wyjazdowy, padły łupem Górnik. W Częstochowie wygrał 1:0, na własnym stadionie 3:1. Siłą Zabrzean okazywały się ich skrzydła, trudno do powstrzymania dla obrońców rywali.

Raków jednak posiada coś, czego nie ma ekipa z Roosevelt - potężne doświadczenie w pucharowych finałach oraz... klasowego napastnika jakim jest Jonatan Braut Brunnes.

Cisza medialna Górnik

Czego się więc można spodziewać? Po prostu... wszystkiego. Pokazały to także ostatnie mecze ligowe w wykonaniu obu zespołów. Górnik wygrał podczas minionego weekendu w Białymstoku z Jagiellonią, a Raków w Gdańsku z Lechią po golach strzelanych w doliczonym czasie gry. Z ostatnich wieści

z obu klubów wynikało, że niezwykle istotnym elementem treningów były rzuty karne. Plotki z obozu jednego z finalistów, stanowiące zapewne też element wojny psychologicznej, nie wykluczają nawet dokonania zmiany bramkarza przed ewentualnym konkursem jedenastek.

Na marginesie koncentracji - Zabrzeanie szykując się do sobotniego występu zarządził tygodniową ciszę medialną, która obowiązywała nawet... rzecznika prasowego oraz klubowych działaczy.

Na szali w Warszawie leżeć będą także wielkie pieniądze. Obaj finaliści zagwarantowali sobie premię w wysokości miliona złotych, zwycięzca zgaranie kolejne cztery miliony. Znacząca część tej kwoty trafi zapewne w formie premii do samych piłkarzy, co jest już niemal świecą tradycją. Na solidne transfery też jednak powinno starczyć.

Zdobywca Pucharu Polski zagra w III rundzie Ligi Europy. Zwycięstwo w tej rundzie oznacza już co najmniej fazę ligową Ligi Konferencji, a porażka występ w ostatniej rundzie kwalifikacji do tych rozgrywek. W praktyce otwiera to drogę do kolejnych dużych pieniędzy. W minionym sezonie Raków za awans do 1/8 finału tych najmniej prestiżowych rozgrywek zgarnął w sumie ok. 8 milionów euro. Liga Europy jest opłacana jeszcze wyżej.

Warto dodać, że jeśli zdobywca trofeum znajdzie się na mecie sezonu w czołowej czwórce, wówczas do Ligi Konferencji wskoczy też piąty zespół z tabeli.

Początek sobotniego meczu o godz. 16. Transmisja w TVP1, TVP Sport i TVP Polonia. ©

Widowisko w Paryżu. Ogrom emocji, wielkie tempo i aż dziewięć goli

Dariusz Knopik
dariusz.knopik@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Kapitalne widowisko stworzyły Paris Saint-Germain i Bayern Monachium w pierwszym półfinałowym meczu Ligi Mistrzów

Dwumecz PSG z Bayernem określono mianem „przedwczesnego finału”, bo spotkały się dwie drużyny nastawione na ofensywę. To znalazło potwierdzenie w pierwszym spotkaniu rozgrywanym na Parc des Princes. Kibice oglądający mecz nie mieli ani chwili wytchnienia, bo raz za razem sunęły akcje na obie bramki.

Rozpoczęło się od gola dla Bayernu. Potem PSG prowadziło nawet 5:2, ale mistrzowie Niemiec nie odpuścili i wbili jeszcze dwie bramki. Przed rewanżem wszystko jest możliwe.

W ekipie z Paryża wyróżnili się Ousmane Dembele i Chwiczka Kwaracchelia, którzy strzelili po dwa gole, a ten pierwszy został uznany graczem meczu. W monachijskiej drużynie

pierwsze skrzydce grali skrzydłowi Luis Diaz i Michael Olise.

- To była tak niezwykła gra, z obiema drużynami występującymi na niesamowitym poziomie. Jestem tak zmęczony, a nawet nie przebiegłem kilometra. Mecz miał wszystko. Było wiele wzniośleństw i upadków. To moment, aby pogratulować zawodnikom, obu drużynom i wszystkim obecny tutaj - podsumował Luis Enrique, trener PSG.

- Cierpieliśmy, ale też byliśmy niebezpieczni. Jedno to patrzeć na stracone gole - normalnie, pięć goli na wyjeździe w półfinale Ligi Mistrzów oznacza odpadnięcie. Ale jeśli spojrzysz na stworzone przez nas szanse, mogliśmy strzelić więcej. I to musi dawać nam wiarę - dodał Vincent Company, prowadzący Bayern.

PSG - Bayern 5:4 (Chwiczka Kwaracchelia 24, 56, Joao Neves 33, Ousmane Dembele 45+5 karny, 58 - Harry Kane 17 karny, Michael Olise 41, Dayot Upamecano 65, Luis Diaz 68); **Atletico Madryt - Arsenal** zakończył się po zamknięciu wydania.

Rewanż 516 maja. ©



FOT. PAPIERA

Michael Olise z Bayernu i Chwiczka Kwaracchelia z PSG - jedni z głównych bohaterów półfinału Ligi Mistrzów

Zawisza chce się umocnić na czele, a Olimpia znowu być wiceliderem

Dariusz Knopik
dariusz.knopik@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Majówka zapowiada się interesująco dla sympatyków futbolu. Fani nie będą narzekać na brak meczów, a co za tym idzie emocji

Przed nami właściwie pozostał miesiąc rywalizacji w Betclit 2. Lidze i Betclit 3. Lidze. Rozstrzygnięcia coraz bliżej.

Drugoligowcy rozegrają 30. kolejną spotkań. Olimpia Grudziądz po dwóch ostatnich porażkach spadła na trzecie miej-

sce i traci do Warty Poznań dwa punkty. Białozieloni w najbliższej kolejce zagrają na wyjeździe z Chojniczanką (niedziela, godz. 19.30, TVP 3). Grudziądzanie liczą na przerwanie złej passy i włączenie się w walkę o miejsce premiowane awansem do Betclit 1. Ligi. Nie będzie o to łatwo, bo zespół z Chojnic walczy o to, by znaleźć się co najmniej na szóstym miejscu, które premiowane jest grą w barażach. Na razie jest na ósmym lokacie ze stratą pięciu „oczek” do szóstej Sandecji Nowy Sącz.

W Betclit 3. Lidze czas na 29. kolejną. Poprzednia była udana dla Zawiszy. Bydgoszczanie umocnili się na prowadzeniu w tabeli i mają cztery punkty przewagi nad drugim Wikędem Luzino. Niebiesko-czarni podejmą Flotę Świnoujście (piątek, godz. 19). Najbliżsi rywale zawiszan to siódma ekipa w tabeli. Jednak warto przypomnieć, że to zawsze był niewygodny rywal dla Zawiszy, a jesienią wygrał 1:0 i to była tylko jedna z trzech porażek jakie bydgoski zespół poniósł w lidze. Czas na rewanż...

Elana Toruń jako jedyny reprezentant regionu kujawsko-pomorskiego w tej kolejce zagra na wyjeździe. Żółto-niebiescy zagrają z Victorią Września (piątek, godz. 15). Torunianom pozostaje walka co najwyżej o trzecią lokatę. Do zajmującej to miejsce Polonii Środa Wielkopolska tracą pięć punktów. Ich najbliższy rywal broni się przed spadkiem. Ma cztery „oczka” więcej niż otwierająca strefę spadkową Pogoń Nowe Skalmierzyce.

Wda Świecie podejmie Polonię (piątek, godz. 12). Pod-

opieczni Krzysztofa Urtnowskiego mierzą w pierwszą ósemkę. Na razie im się to udaje, ale za plecami czai się Noteć Czarnków, która ma tylko trzy punkty mniej. Także trzy „oczka” dzieli Wdę od rezerw Lecha Poznań, które są na piątym miejscu.

Thuchowia ma już tylko matematyczne szanse na zachowanie ligowego bytu. Zespół z Thuchowa podejmie rezerwy Pogoni Szczecin (piątek, godz. 12). Ich rywale także są bliżej spadku, ale mają o cztery punkty więcej. Tak więc dla

podopiecznych Arkadiusza Batora trafia się szansa zmniejszenia strat i nadrobienia dystansu.

26. kolejka 4. Ligi Kujawsko-Pomorskiej-czwartek: Cuiavia Inowrocław - Wisła Dobrzyń nad Wisłą (godz. 17.30), Orleża Aleksandrów Kujawski - Unia Solec Kujawski (18); **piątek:** Mustang Ostaszewo - Start Pruszcz (11), Łokietek Brześć Kujawski - Piast Kołodziejewo (11), Noteć Łabiszyn - Pogoń Mogilno (14); **sobota:** Lech Rypin - Unia Gniewkowo (12), Sparta Brodnica - Unia Wąbrzeźno (14). Kujawiak Kowal - Victoria Czernikowo zakończył się po zamknięciu wydania, Chemik Bydgoszcz pauzuje. ©

SPORT

www.sportowy24.pl

Ruszają mistrzostwa świata w Sosnowcu. Polacy liczą na awans, ale rywale mocni

Joachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

HOKEJ. W sobotę Polska rozpoczyna w Sosnowcu walkę o awans do światowej elity. W składzie naszej reprezentacji jest dwóch hokeistów KH Enea Toruń.

To nowe otwarcie w reprezentacji. Ostatnie lata to rządy Roberta Kalabera, pod jego wodzą reprezentacja wywalczyła w 2023 roku awans do elity po ponad dwóch dekadach oczekiwania. To był jednak tylko roczny epizod. W poprzednim sezonie Biało-Czerwono wygrali już tylko dwa mecze w Dywizji IA i nadszedł czas na zmiany.

Nowy trenerem kadry został Pekka Tirkkonen, który przekonał PZHL mistrzostwem Polski z GKS Tych, ale wcześniej odnosił także spore sukcesy w rodzimym lidze. Co ciekawe, w nowej roli debiutował właśnie w Sosnowcu, gdzie teraz zostaną rozegrane mistrzostwa świata. To szkoleniowiec, który łączy solidny warsztat z umiejętnością budowania dobrej atmosfery w zespole.

Naszym celem jest znalezienie się w czołowej dwójce, która awansuje do elity, a chcemy grać aktywny hokej z dobrą równowagą pomiędzy obroną a atakiem - deklaruje odważnie Pekka Tirkkonen. - Duże wsparcie kibiców będzie naszym niewątpliwym atutem. Mieszkam w Polsce i widzę, jak fani potrafią wspierać. Dla nich, hokeistów,



Reprezentacja Polski liczy na powrót do elity, ale łatwo z pewnością nie będzie

sztabu szkoleniowego to wielka sprawa, że gramy u siebie.

Polacy nie należą do największych faworytów mistrzostw. Najwyżej stoją akcje Francji i Kazachstanu, ten pierwszy zespół rok temu pożegnał się z elitą po blisko 20 latach. Z tymi zespołami gospodarze zagrają na samym początku mistrzostw.

- Francja to duże doświadczenie i ogranie z najlepszymi na świecie. Kazachstan też ma silny zespół z zawodnikami z KHL. Odnośnie pozostałych przeciwników, Ukraina ma wielu utalentowanych graczy, Japonia zawsze była drużyną szybko jeżdżącą na łyżwach, a Litwa to beniaminek, który ma dużo energii i chęci do gry - podkreśla Tirkkonen.

W Sosnowcu będziemy kibicować też dwóm hokeistom KH Enea Toruń. W kadrze są następnicy Jakub Lewandowski i Mikołaj Syty. Obrońca Jakub Schafer odpadł na samym finiszu z powodu kontuzji łyżew.

MECZE POLAKÓW W SOSNOWCU

Sobota: Polska - Ukraina, godz. 19.30; niedziela: Polska - Francja, godz. 19.30; wtorek: Polska - Kazachstan, godz. 19.30; czwartek: Polska - Japonia, godz. 19.30; piątek: Polska - Litwa, godz. 19.30. Transmisje w Polsacie Sport.

SKŁAD REPREZENTACJI POLSKI

Bramkarze: Fucik, Miarka. Kieler
Obroncy: Pocięcha, Bryk, Naróg, Górny Ciura, Hanzel, Bilas, Wanacki.
Następnicy: Paś, Walega, Kręzolek, Ślusarczyk, Kielbicki, Macias, Brynkus, Komorski, Mroczkowski, Lewandowski, Syty, Gościński, Chmielewski, Łyszczarczyk, Wronka. ©

KOLARSTWO

Kolejny sukces szybkiej torunianki

Maria Okrucinińska wygrała prestiżowy wyścig Omloop van Borsele w ramach Pucharu Narodów juniorów. Torunianka rozpoczęła od zwycięstwa w jeździe indywidualnej na czas, na 14-kilometrowej trasie wyprzedziła Hiszpankę Alejandrą Neirą o 0,01 sekundy. Wszystko rozstrzygało się na sekundy. W finałowym odcinku to Okrucinińska finiszowała mocniej, zdobyła bonifikatę na mecie i pierwsze miejsce w klasyfikacji generalnej.



FOT. ARCHIWUM

HOKEJ

Kontrakt z obrońcą

Jakub Gimiński kolejnym hokeistą z kontraktem w KH Enea Toruń. Wychowanek Sokółów gra w drużynie nieprzerwanie od 2022 roku i ma na koncie blisko 200 spotkań w Tauron Hokey Lidze.

Pojadą o kask, awanse i punkty. A na deser będą derby

Magdalena Zimna
magdalena.zimna@polskapress.pl

ŻUŻEL. To będzie intensywna majówka do fanów czarnego sportu. Emocje zaczną się dziś w Bydgoszczy, kulminacja - w niedzielę w Toruniu.

Na czwartkowe, późne popołudnie, zaplanowano finał Srebrnego Kasku w Bydgoszczy. - To świetny pomysł na rozpoczęcie majówki. Zabierzcie znajomych i wpadajcie na stadion Polonii - zaprasza Maksymilian Pawełczak, jeden z uczestników zawodów i jeden z faworytów turnieju. Chętnych na Srebrny Kask będzie jednak więcej. Wśród nich klubowy kolega Pawełczaka - Wiktor Przyjemski, obrońca tego trofeum. Groźni będą też Kevin Małkiewicz z Grudziądza, Bartosz Bańbor z Lublina czy Kacper Mania z Leszna. Początek turnieju o g. 18.00 (Motowizja).

List startowa: 1. F. Majewski (Stal Rzeszów), 2. A. Mencil (PSZ Poznań), 3. S. Ludwiczak (Włókniarz Częstochowa), 4. K. Małkiewicz (GKM Grudziądz), 5. P. Sitek (Ostrovia Ostrow), 6. B. Bańbor (Motor Lublin), 7. K. Tkocz (ROW Rybnik), 8. M. Borowiak



FOT. GRZEGORZ OLIKOWSKI

Patryk Dudek (czerwony kask) z Landshut pojedzie na derby

(ROW Rybnik), 9. B. Jaworski (Motor Lublin), 10. M. Pawełczak (Polonia Bydgoszcz), 11. K. Halkiewicz (Włókniarz Częstochowa), 12. J. Żurek (Unia Leszno), 13. B. Derek (Pres Toruń), 14. W. Przyjemski (Polonia Bydgoszcz), 15. K. Mania (Unia Leszno), 16. F. Seniuk (Ostrovia Ostrow), 17. J. Wieszcak (Wilki Krosno), 18. O. Stepien (Kolejarz Opole)

Pawełczak i Małkiewicz wystartują też w piątek w IMP Challenge w Świętochłowicach. Tam czeka siedem przepustek do finałów Indywidualnych Mistrzostw Polski. Na liście startowej są też dwaj seniorzy Abramczyk Polo-

nii: Szymon Woźniak i Krzysztof Buczkowski. Zawody odbędą się 1 maja (g. 15.00, TVP Sport).

List startowa: 1. M. Janowski (Sparta Wrocław), 2. T. Musielak (Wilki Krosno), 3. M. Cierniak (Motor Lublin), 4. K. Łobodziński (Speedway Kraków), 5. B. Kowalski (Sparta Wrocław), 6. M. Pawełczak (Polonia Bydgoszcz), 7. J. Jamróg (ROW Rybnik), 8. S. Woźniak (Polonia Bydgoszcz), 9. B. Jaworski (Motor Lublin), 10. P. Pawlicki (Unia Leszno), 11. R. Kowalski (Wilki Krosno), 12. K. Małkiewicz (GKM Grudziądz), 13. N. Krakowiak (Start Gniezno), 14. B. Bańbor (Motor Lublin), 15. A. Mencil (PSZ Poznań), 16. K. Buczkowski (Polonia Bydgoszcz)

Anwil o szóstkę, Astoria zaczyna walkę o wielki finał

Joachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Anwil zagra mecz o szóstkę w Warszawie, wielkie emocje w Bydgoszczy.

Włocławianie po pięciu zwycięstwach z rzędu są już praktycznie pewni udziału przynajmniej w play in, ale wciąż mają szansę na miejsce w play off bez udziału w kwalifikacjach. W czwartek (18.00) rozegrają arcyważne spotkanie w Warszawie z Dziakami, do których tracą teraz jedno zwycięstwo. Ewentualny sukces przesunie włocławian na minimum szóste miejsce i sprawi, że w ostatnim meczu sezonu zasadniczego u siebie z Treflem Sopot wszystko będą mieli we własnych rękach.

Łatwo jednak nie będzie, bo Dziaki mogą się pochwalić niewiele gorszą serią, wygrały cztery ostatnie mecze, w których najbliższe porażki byli w To-

runiu (83:82). Przed poprawiono nieco ostatnio defensywą Anwila poważny sprawdzian: do zatrzymanie jedno z najmocniejszych trio obwodowych w PLK, Landrius Horton, Darnell Edge i Tahlkik Chavez w sumie notują średnio blisko 50 punktów na mecz.

Pierwszy bezpośredni Anwil wygrał u siebie 105:96. Jest coś, co łączy te drużyny: obie wygrały European North Basketball League. Włocławianie wygrali pierwszą edycję w 2022 roku, Dziaki ostatnią zaledwie kilka dni temu.

Koszykarze Arrivy Lotto Toruń w sobotę o godz. 19.30 poszukają dwunastego zwycięstwa w sezonie w wyjazdowym starciu z GTK Gliwice.

Przedwczesny finał?

Enea Abramczyk Astoria zaczyna rywalizację o finał I ligi, choć dla wielu właśnie rywalizacja z Fulimpexem Starogard



FOT. ARKADIUSZ WOJTAŚIEWICZ

Adam Kemp w 1. rundzie notował 13 pkt i 11 zbiórek

Gdański jest takim przedwczesnym finałem. Obie drużyny świetnie zaprezentowały się w ćwierćfinale, choć zgubiły po jednym zwycięstwie.

Rywale Astorii poradzili sobie w ćwierćfinale z Sokółem Łañcut, choć przed play off stracili swojego lidera. Amerykanin Demonte Buckingham poprosił

o zwolnienie z kontraktu z powodu ciężkiej choroby żony. Klub wyraził na to zgodę. - Jego żona będzie wymagała bardzo intensywnej rehabilitacji, którą koszykarz musi zorganizować, dodatkowo też zająć się ich kilkuletnim synkiem. Wybór był oczywisty - wyjaśniał prezes Michał Jaczyński.

Nawet bez Buckinghama trener Darko Radulović ma przynajmniej dziewięciu graczy w rotacji, w tym cenionych weteranów Mateusza Bartosza, Adama Kordalskiego, Sebastiana Kowalczyka czy młodego strzelca Michała Sitnika.

W sezonie zasadniczym obie drużyny podzieliły się zwycięstwami... na wyjazdach. Fulimpex wygrał w Bydgoszczy 79:71, Asta 78:74 w Starogardzie Gdańskim.

Dwa pierwsze mecze w serii do trzech wygranych w Bydgoszczy w sobotę i niedzielę o godz. 18.00. ©